Темрюкъ
[illegible]

NOWELE

Aleksander Smaczniński.

NOWELE

WARSZAWA
Druk Warszaw. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczego

1901.

SZKOŁA A ŻYCIE

EPIZOD.

Niezdrowy, a może z innnych względów niepomyślny, jakiś okres czasu wmięszał się w to dziesięciolecie, po którem naznaczyli sobie ową pierwszą koleżeńską schadzkę. Z pięćdziesięciu dwóch tchnących zdrowiem i siłą postaci młodzieńczych, dwudziestu ośmiu ludzi dojrzałych stawiło się dzisiaj, na dzień i godzinę oznaczoną, w bocznej alei ogrodu.

A reszta, zapytacie?

Z resztą stało się to, co się dzieje z całem wielkiem mrowiskiem ludzkiem. Jednych pokryła ziemia, przekazując ich nazwiska serdecznej pamięci bratniej, inni zeszli z tego świata niewiadomo jakim sposobem, tak jak niewiadomo dla kogo i po co na nim żyli, a jeszcze innych zatrzymała jakaś żelazna konieczność, i nie pozwoliła im wywiązać się z danego przy-

rzeczenia. A być też między nieobecnymi musieli i tacy, do których żal jakiś tajemny a głęboki na dnie wszystkich serc koleżeńskich pozostał, bo się ich imiona ani jednem echem nie odbiły o ponure ściany gmachu przylegającego do tej alei samotników. Oto macie rachunek cały!

Po pierwszych, serdecznych a bezładnych słowach powitania, po krótkim przeglądzie zebranych, zrobił ktoś uwagę, że z winy ostatnio przybyłych program dnia naruszony już został o godzinę z górą czasu, a więc po dwóch, po trzech pociągnęły te gromadki ku S-to Jańskiej katedrze, gdzie oczekiwał dawnych swoich uczniów, stary już w owej epoce, a dzisiaj przygarbiony mocno i zgrzybiały prefekt szkolny.

Zatem nowe powitania, odgadywanie w tych dojrzałych fizyonomiach męzkich młodzieniaszków z przed dziesięciu laty, i znowu po wyjściu z kościoła znaleziono się w biesiadnej sali, aby odświeżyć ducha wspomnieniami niepowrotnie minionej młodości, i w serdecznym wylewie serc wywypowiedzieć dzieje pokolenia—jak mówi poeta.

Niczem prawie nie różniła się ta koleżeńska uczta od wszystkich, jej podobnych. Wystawmy sobie dużo zrazu różnorodnych epizodów z dzieciństwa, ochocze rozmowy w środku biesiady, hałaśliwszą nieco wesołość pod koniec, wśród tego kilka toastów takich, jak: „Pamięci najgodniejszych z pomiędzy nas“! „Nasze koleżeńskie“! wreszcie owo nie starzejące się nigdy: „Kochajmy się!, a będziemy mieć w przybliżeniu wierny obraz tej skromnej uroczystości, którą święcono odnalezienie się w życiu po tak długiej przerwie, i przyobiecywano sobie przyszłe, za lat dziesięć znowu, spotkanie w zmiejszonym z pewnością komplecie.

A teraz basta, basta panowie,
Niech każdy cicho usiędzie,
Dajcie gitarę, wino już w głowie,
Więc i piosenka wnet będzie.

Może myślicie, że po tem wszystkiem przyszła kolej i na piosenkę? Bynajmniej! Nie do piosenki jakoś były te usta, nie uśmiechały się te oczy; trzydzieści lat, mniej więcej, na barkach dopiero niósł każdy z tych ludzi, a po uczcie łaknął spoczynku, jak gdyby mu szron głowę

srebrzyć już zaczynał. Zmęczone to jakieś było przedwcześnie, i nad wiek stateczne a poważne. Teraz oto porozbijali się na grupy i kółka, i pytają wzajemnie o losy obecne, niewybiegając po za teraźniejszość najbliższą. Przysiądźmy się do jednej takiej grupy i posłuchajmy o co tam chodzi tym sensatom trzydziestoletnim. Ten oto, który mówi najgłośniej, a którego wszyscy słuchają chętnie, jak słuchali za dobrych szkolnych czasów, ten co przyniósł na to pierwsze koleżeńskie zebranie wcale pokaźny zarodek łysiny — to lekarz od lat trzech praktykujący.

Zawzięcie spiera się on teraz z kolegą adwokatem o wartość akademickiego studyum w ogóle, które jurysta pod niebiosa wynosi, a z którego lekarz, wedle tego co on sam utrzymuje, drwi sobie najzupełniej. Ktoby ich po raz pierwszy widział dzisiaj, mógłby tego palestranta wziąć za entuzyastę, a tego łysiejącego młodego doktora za cynicznego sceptyka. Koledzy twierdzą, że jest wprost przeciwnie. Spór się zaostrzał. Rozmiłowany w autorytetach swoich jurysta zapytywał lekarza o jego dogmaty; lekarz w odpo-

wiedzi ruszał ramionami, albo zaprzeczał ruchem głowy tak, że tamten doprowadzony do ostateczności, zawołał:

— Więc tobie nic nie pozostawiły twoje studya?

— Owszem, pozostawiły trochę metody, dużo wątpliwości i niezmierne zniechęcenie.

— Pryncypiów niewzruszonych żadnych?

— Wszystkie pryncypia są niewzruszone, dopóki ich kto nie ruszy. Od lada dotknięcia przenikliwszego umysłu osuwa się to wszystko, jak gmach bez fundamentów.

— I cóż wy robicie?

— Łatamy i wiążemy gdzie się rwie, a sztukujemy tam gdzie nie starcza, zresztą wmawiamy w siebie i w drugich mnóstwo rzeczy, w które nie wierzymy sami.

— A wasze środki?

— Jest ich kilka, ale kilka zaledwie.

— No, to i to już przecież coś.

— Zapewne, ale my mamy kilka, a stosujemy tysiące.

— To nie stosujcie.

— Dobry sobie jesteś. Nietylko wy macie swoją procedurę.

— Oto widzisz, że przecież coś macie.

— Mamy, ale to także fundamentalne.

— Słuchaj dobry, stary kolego. Nie byłeś ty nigdy słodki jak miód, ale teraz jesteś gorzki jak piołun. My jednak w ten sposób rozmawiając, nie dogadamy się niczego; to ogólniki same, które wymieniliśmy dotąd. Zamiast tego wszystkiego, lepiej będzie mówić na przykładach. Otóż powiedz mi, czy zawiodła cię w twojej praktyce aby jedna z wielkich zasad, którą w swoim czasie słyszałeś wygłaszaną z katedry?

— Zawiodła.

— I żałowałeś tego, że poszedłeś za tą zasadą?

— Ciężko żałowałem.

— Opowiedz nam to.

Poparto jednomyślnie wniosek. Stolik, przy którym siedzieli dyskutujący, otoczyło niemal całe koleżeńskie grono, a młody lekarz taki opowiedział epizod z początków samych swojego zawodu:

— Był to pierwszy rok mojej skromniutkiej praktyki. Pracowałem wiele,

ale odpowiedzialności za te trudy nie mogę składać przed wami na natręctwo mojej klienteli.

Szpital i książka zabierały cały prawie mój czas rozporządzalny; ano trafił się też i pacyent jakiś, jeden i drugi, bo jakżeby bez tego obejść się mogło. Przyznać mi wypada, że nie drożyłem się z moją osobą nadzwyczajnie; każdego, kto zawitał w moje progi, załatwiałem, jak umiałem najlepiej, to znaczy, że starałem się gruntowną rozwagą zastąpić nie bogate moje doświadczenie, a przez uprzejme obejście z chorym wynagrodzić niedostatek mojej lekarskiej wziętości. Szło jakoś to życie, i gotów byłbym powiedzieć nawet, że szło wcale znośnie. Raz, pamiętam, było to w Lutym, u schyłku samego miesiąca, siedziałem sobie około północy wyciągnięty po sybarycku w moim wielkim fotelu, i dumałem, jak to dobrze, że ta szalejąca na dworze nawałnica śnieżna nic mi w moim kąciku zacisznym dokuczyć nie może. Jak gdyby na przekorę usłyszałem odgłos dzwonka w przedpokoju, a że ubogi, początkujący lekarz zadawalniać się musiał przychodnim służącym,

który go co wieczór, przyrządziwszy herbatę, opuszczał, więc zerwałem się pośpiesznie i pobiegłem otworzyć.

Indywiduum wpuszczone, w którem więcej odgadłem niż rozpoznałem kobietę, otrzepywało śnieg z chustki, pokrywającej głowę, a ja domyślając się, że to jest ktoś wysłany po doktora, a nie sam chory bynajmniej, zrzucałem szlafrok, i przygotowywałem się do wyjścia. Przez ten czas weszła i ta kobieta, mająca minę służącej, jeśli nie zamożnego, to z pewnością uczciwego domu; żeby nie stracić ani chwili, prowadziłem z nią przy pośpiesznem ubieraniu, taką kilkowyrazową inkwizycyą:

— Ktoś chory?

— Tak.

— Ciężko chory?

— Chyba ciężko bardzo.

— Mężczyzna—kobieta?

— Dziecko.

— Dawno?

— Będzie z tydzień prawie.

— Doktór był?

— Chodził ciągle.

— A dziś?...

— Dziś już nie przyszedł.

— To już znaczyło widocznie, że nie było po co przychodzić. Piękne to pole do popisu dla początkującego doktora, takie wezwanie o podpis pasportu. Przytłumiając płomień lampy na odchodnem, rzuciłem jeszcze kilka ostatnich zapytań:

— Dziecko u rodziców?

— U dziadków.

— A rodzice?

— Nie żyją.

— Jedyne dziecko?

— Jej matka była jedna, i ona jedna biedactwo, — odpowiedziała służąca głosem przez łzy stłumionym.

Coraz lepiej!—myślałem sobie idąc na wschody pod wpływem najgorszych przewidywań. Oprzytomniła mię wprędce śnieżyca, z którą literalnie walkę staczać było potrzeba. Droga była niedaleka, ale mnie się zdawało, że nie dojdziemy nigdy, tyle razy bowiem uragan mroźny zatrzymywał nas, dech w piersiach tamując. Wreszcie dobiliśmy się do jakiegoś domu, którego przedtem nie znałem, a po kilkakrotnem dzwonieniu do bramy i dostaniu się do wnętrza, przewodniczka moja wprowadziła mię na drugie piętro oficyny.

Wygląd mieszkania, na pierwszy zaraz rzut oka, tłomaczył i objaśniał dramat rodzinny, odgrywający się tutaj od tygodnia, jak mówiła służąca.

Bezład saloniku, do którego przeniesiono chore dziecko, wszystkie stoły zastawione bateryami słoików i flaszek, atmosfera dusząca, przepełniona wyziewami aptecznymi, oto co na początek uderzało wzrok i powonienie wchodzącego. A tam w rogu, na wielkiem łóżku spoczywała w poduszkach jasnowłosa główka dziecięca, na której drżące ręce staruszki przytrzymywały kompres lodowy. Była jakaś jeszcze postać męzka w głębi pokoju, alem na nią nie zwrócił bliższej uwagi, zajęty całkowicie tem, po co przybyłem tutaj.

Nauczony w ciągu krótkiej mojej praktyki, jak wiele krzywdy chorym wyrządza nadmierna gorliwość dozorujących przez to oziębianie nieumiejętne, odrzuciłem okład i chciałem zbadać stan dziecka. Niestety! jednego rzutu oka wystarczyło mi tutaj do zdania sobie sprawy z położenia. Niezaprzeczenie proces mózgowy dobiegał ostatniego swojego stadyum. Bezprzytomność zupełna, upadek sił, znaczne,

poniżej normy opadnięcie temperatury, osłabienie tętna i inne jeszcze oznaki stwierdzały, że dla lekarza nic tutaj do zrobienia nie pozostawało. Spojrzałem w twarz staruszki i nie mogłem sobie na razie wyrobić pojęcia o tem, czy rozumie ona co się tu dzieje — czy zdaje sobie sprawę z położenia, a przynajmniej, czy przeczuwa cokolwiek. Niebawem jednak zdołałem stwierdzić, że daleką bardzo była od prawdy, a tylko jakieś ruchy automatyczne, tylko jakaś gorączkowa potrzeba czynności i starań, to było wszystko, czem się manifestowało życie i świadomość tego organizmu gasnącego. Trzy razy zatrzymywałem jej trzęsącą rękę, gdy chciała jeszcze kłaść lód na główkę ukochanego dziecięcia — trzy razy powracała do tej samej czynności. Było to już tedy jakieś osłupienie, jakaś wpółprzytomność, które stanowisko moje, i tak przykre bardzo, o wiele jeszcze utrudniały. Nie miałem odwagi powiedzieć całej prawdy; jakaś trwoga niepojęta wiązała mi mowę. Nie umiałem znaleść sobie drogi, wytknąć trybu postępowania, tak

odczuwałem bezgraniczną rozpacz tej duszy udręczonej — nie mogłem zdecydować się na to, aby zostać koniecznie tym, który jej cios ostateczny ma zwiastować. To też w takiej bezradności zupełnej, wcale nie wiedząc co należało poczynać, i z czem się odezwać, zdawało mi się, że jakimś przecie punktem wyjścia będzie zapisanie recepty, i machinalnie niemal zażądałem papieru i pióra.

— Otóż o ten papier i pióro — o tę właśnie chęć moją napisania recepty idzie mi w tej sprawie.

Powinienem czy nie powinienem był pomyśleć o czemś podobnem w tej chwili? Z punktu widzenia ogólnie ludzkiego, skoro przeświadczenie moje wewnętrzne powiadało mi, że nauka nie miała już tutaj nic do zrobienia, rola moja jako lekarza kończyła się całkowicie, a jeśli uczucie ludzkości przypominało jakiś jeszcze niespełniony obowiązek, to chyba względem tych dwojga starców jedynie. Dla tej złotowłosej, dogorywającej dzieciny wszystkie tryumfy i zdobycze wiedzy na nic już się zdać nie mogły. Tak odpowie każdy człowiek serca i każdy człowiek

honoru; zdawałoby się, że w tym razie bylibyśmy zawsze jednej opinii i jednego zdania, ilu nas tu jest—lekarzy i nielekarzy.

— A tymczasem nieprawda! Jest jeszcze zapatrywanie inne — wprost przeciwne nawet, bo jest obowiązek rozdmuchiwania aż do ostatniej chwili niezagasłej iskierki życia, jest nadto obowiązek profesyjny, niepozwalający na opuszczenie chorego bez pozostawienia ordynacyi lekarskiej.

Czyż istnieje coś podobnego? zapytano jednomyślnie lekarza.

— Otóż widzicie że istnieje, i w dodatku powiem wam, że niema w nauce powagi, któraby się inaczej na rolę doktora w takich okolicznościach zapatrywała — niema katedry, z której by wstępujący w okres praktyki lekarskiej student medycyny nie miał sobie powtórzonem i umotywowanem tego zalecenia. A nadto pamiętać należy, że między motywami tego regulaminowego paragrafu, każdy jest obliczony ku pożytkowi cierpiących, wszystkie są podniosłe i zaszczyt przynoszące tym, którzy te przykazania z roku na rok setkom następców swoich przekazują.

Ale co to maksyma w obec życia! Życie jest od tego, aby wszyskiemu zaprzeczyć i wszystko obalić!

Nie opuszcza się chorego bez pozostawienia mu porady — oto zasada!

Kiedy zażądałem tych przyborów do pisania, wysunęła się z cieniów pokoju postać męzka, na widok której zimny dreszcz przeszedł mię od stóp do głowy.

Słuchajcie koledzy! wszak niezapomnieliście pewnie naszego starego profesora historyi? Wystawcież sobie, że ten starzec przygarbiony wówczas, dzisiaj białowłosy, przybity, i wpółprzytomny, ten dziadek dzieciny, która według wszelkiego prawdopodobieństwa światła poranku ujrzeć już nie miała, ten człowiek niezatartymi ślady zapisany w pamięci mojej, i waszej zapewne — to był on! Wieleż to ja razy przypominałem sobie tę postać szczytną później—wtedy dopiero, kiedym przez odległość czasu i w oświetleniu własnej dojrzałości zrozumieć ją i ocenić zdołał, jak należy! Fanatyk nauki siał skarby prawdziwe w serca niesfornej zgrai dzieciaków, niestrudzony, bezinteresowny, niepamiętny uraz — cały zapatrzony w ja-

kąś dal niezmierną — wiecznie na tych wyżynach swoich! Eh! co tu mówić! Przestali się rodzić ludzie tacy... Widać, że Opatrzność nie potrzebuje ich już do swoich celów.

Tego starca miałem znów przed sobą w tej chwili, i z moich ust miał on usłyszeć swój wyrok zagłady, bo że gromem i zagładą dla niego był zgon tego dziecka, o tem nie należało przecież powątpiewać. Zahaczonych o jedno wątłe istnienie trzymało się życia tych starców dwoje, a teraz oto nadchodziła dla nich godzina sądu.

Trzeba to wszystko było sobie rozważyć, żeby zrozumieć położenie moje, a mnie to tętniło pod czaszką niby nawałnica, i nie było zdaje się tajników boleści tych ludzi nad grobem, ani głębiny ich smutku i opuszczenia, którejbym myślą nie zmierzył w tym krótkim okresie czasu. Dziecko odchodziło—to był fakt,— a więc jedną czystą duszą mniej na świecie—mniej może jedną ofiarą jakiejś znowu fatalności niepojętej, i oto wszystko. Jestto zawsze imponujące i wielkie to przeobrażenie samo w sobie, ale niema w niem rozpaczy żadnej. Duch powraca

w przestrzenie, z których zstąpił, ale oni— ale ci pozostali!...

O wiele bezpieczniej nie analizować sobie bliżej faktów podobnych, nie dociekać przyczyn i nie usprawiedliwiać sobie tego, czego umysłem ludzkim w żaden sposób usprawiedliwić nie można.

On, rozumie się, nie poznawał mię wcale, a ja lękałem się właśnie, aby nie poznał, bo co ja jemu miałem do powiedzenia. Czy dzisiaj, w analogicznym wypadku potrafiłbym sobie poradzić lepiej— niewiem; możebym i potrafił, ale na to żeby zapanować nad położeniem musiałbym koniecznie niedoświadczać tego, czego doświadczałem między tą dzieciną konającą i dwojgiem zrozpaczonych starców.

Na zimno dużo da się zrobić rzeczy rozsądnych, a ja zimny nie byłem tam wcale. Moja bezradność zupełna w obec śmierci, która bezpośrednio i pośrednio obejmowała w posiadanie swoje tę kolebkę i te dwa cienie zarazem, mój lęk jakiś szczególny, którego nie doznawałem przedtem ani potem, a dodajmy zawsze i te moje studya tak niedawne jeszcze — wszystko złożyło się na to, iż wyciągną-

łem rękę po pióro, szukając w niem ratunku jakiegoś. Po co? dla kogo? Nie wiedziałem dobrze. Może dla siebie samego tylko.

On mi je podawał ze szczególnym pośpiechem, i podczas gdy ja rozważałem, który z moich środków magistralnych mógłby się okazać najmniej niedorzecznym, jemu dotąd milczącemu, drętwemu i niememu, jak gdyby na domiar mego udręczenia, rozwiązały się nagle usta.

Czy wiara jakaś wstąpiła w niego nowa, czy po poprostu myśl błąkała się już gdzieś na bezdrożach, ale wystawcie sobie, że zaczął nagle bez względu żadnego na dziecko chore, chodzić po pokoju, mówiąc w połowie do siebie, w połowie do mnie, w chwilach mianowicie kiedy się bliżej krzesła mojego znajdował:

„Spokojniejsza teraz... o wiele spokojniejsza! Wszak prawda, panie? Ani tego płomienia w oczach, ani tych ruchów takich strasznych. Że też to człowiekowi staremu serce nie pęknie, kiedy przyjdzie patrzeć na mękę takiego biedactwa. No, ale jesteśmy teraz po za niebezpieczeństwem wszelkiem. Ah! dziecko

moje, cobyśmy biedni poczęli bez ciebie? Podobało się Bogu zabrać matkę twoją, ha! ciężko było... Oh jak ciężko! wola Jego święta... ale przecież nie mógłby nam nieszczęśliwym odebrać i ciebie jeszcze promieniu ty słoneczny!... Co to za kobieta z tej Katarzyny, żeby wpaść na myśl sprowadzenia pana w takiej chwili przesilenia, bo to przecież przesilenie najwyraźniejsze. Wszak tak nazywacie ten okres choroby?“

Milczałem.

Podszedł do łóżka, wpatrzył się w dziecko, którego pierś podnosiła się i opadała rytmicznie, poczem powrócił znowu do mnie i do swego monologu.

„A! wybaczy mi doktór H..., ale nie tego miałem prawo oczekiwać po moim koledze szkolnym i tyloletnim przyjacielu. Tak nas zostawić, w podobnej godzinie! No, i co proszę, mogłoby się stać było, gdybyś pan nie nadszedł? Przecież natura potrzebuje aby jej dopomódz w chwilach, kiedy się na taki wysiłek zdobywa i tryumfuje nad chorobą. Opatrzność Boska, prawdziwie, że pan jesteś. Przyjdziesz jutro? Nieprawdaż?“

Potwierdziłem, czując jak zimny pot występował mi na czoło; musiałem potwierdzić. Ale co robić dalej?

Przecież tu się wszystko na godziny już tylko liczyło, i to w najlepszym razie. Jak wymknąć się temu starcowi? Wreszcie potrzeba było mi uciec także przed owem honoraryum nieszczęśliwem.

Ułatwił mi zadanie on sam. Spojrzał na receptę, uderzył się w czoło, i pochwyciwszy ten skrawek papieru, wybiegł z pokoju ze słowami, szeptem wymówionemi:

— O czem ja też myślę doprawdy w takiej chwili!

Połowa ciężaru spadła mi z duszy. Z tym człowiekiem obok jego dziecka w agonii pozostać mi było niepodobna. Zbliżyłem się do łóżka. Dziewczynka oddychała coraz słabiej. Wraz z życiem odchodził i oddech, niby fala odpływająca. Jednem słowem, kończyło się wszystko.

Spojrzałem na staruszkę i spotkałem się z jej wzrokiem szklanym, a niespokojnym jakimś — przerażonym i pytającym zarazem. Musiał ten spokój, który tu zapanował teraz, mieć coś złowrogiego w so-

bie, bo ją taką marmurową w jej zastygu, trwoga wyraźnie poczynała ogarniać.

Nie badała, nie stawiała zapytań, tylko wodziła naprzemian oczyma po mnie i po wnuczce swojej, i znać było, że budziła się w niej świadomość strasznego zakończenia, które się zbliżało szybko.

Czy pochwyciła w oczach moich coś takiego, co jaśniej i dobitniej przemówiło do jej pojęcia, czy posłyszała tajemniczy szelest skrzydeł anioła śmierci — dość że wychodząc naraz z tego osłupienia swego, osunęła się biedna na kolana przy łóżku i z jękiem przyciskać zaczęła do ust stygnące nóżki dzieciny.

Nie pozostawało już tu dla mnie nic do zrobienia, a przytem ten starzec mógł nadejść lada chwila. Ale gdzie on był teraz? Dla czego szczczędził sobie tych minut ostatnich, kiedy z pewnością gorzkiemi łzami obleje potem wspomnienie tego faktu, że ona odeszła nie rzuciwszy mu jednego spojrzenia na doczesną rozłąkę.

Rozbudziłem drzemiącą w kuchni starą sługę, którą trudy tych dni kilku wyczerpnęły widać zupełnie, i uchodziłem

z tego domu niedoli jak winowajca jaki, oglądając się, czy mi jeszcze w przedpokoju nie ukaże się pełna otuchy twarz mego starego nauczyciela.

Wyszedłem na ulicę; wiatr szalał jak dawniej, niósł tumany śniegu i wtórował wyciem żałosnem dramatowi, który tam, na drugiem piętrze, dobiegał kresu. Jak gdyby na urągowisko boleści ludzkiej odezwały się w dali dzwonki, i niebawem mignęło przedemną kilkoro sanek unoszących jakąś hulaszczą, zapóźnioną drużynę karnawałową.

Oto życie miejskie!—myślałem z goryczą. Tu śmierć, tam rozpusta i szał bezmyślny.

A ot znowu jeden, pomruknąłem niechętnie, widząc zdążającą od rogu ulicy jakąś szczególną postać męzką. Ten się lepiej widać jeszcze ustroił, robiłem sobie uwagi wsunięty w zagłębienie bramy, wpatrując się w człowieka jakiegoś okrytego tylko lekkim surdutem. Nadomiar wszystkiego, szedł on bez czapki, a tumany śniegowe wbijały mu się we włosy, okryte już teraz jakąś jednolitą białą oponą. Naraz zdrętwiałem. To był on,

nasz profesor! Wybiegł tak, jak stał w pokoju, z tą receptą do apteki, a oto teraz powracał i targał skostniałą ręką dzwonek do bramy, a w drugiej ściskał flaszeczkę z lekarstwem.

Przeklęte niech będą wszystkie maksymy, zalecenia i formalistyka cała! Nadużyłem łatwowierności tego starca, posłałem go—mimo woli i mimo chęci wprawdzie—ale zawsze posłałem ja, a nie kto innny, na tą śnieżycę nocną, i sprofanowałem moim idyotycznym środkiem lekarskim jego włos biały i jego boleść niezmierną, odrywając go od domu na chwilę taką, w której pękało ostatnie ogniwo wiążące go do życia!

JEZIORO

LEGENDA.

Wielkie jak Świteź, przejrzyste jak kryształowa fala górskiego potoku, a szczególnie pociągające i tajemnicze jakieś, drzemie sobie takie jezioro jedno na dalekiej rubieży naszej ziemi.

Kiedy się ukaże zdumionym oczom twoim z po za ostatniego złomu kamieni. kończącego wąwóz głęboki, stajesz oniemiały z podziwu, rozglądasz się do koła, bo przyznajesz przed sobą, że jako żywo nie oglądały oczy twoje dotąd, ani tak rozległej a martwej powierzchni wodnej, ani takich dokoła niej olbrzymich tarasów, otaczających amfiteatralnie brzegi. Na tych tarasach wzgórzystych roślinność bujna, gdyby w nizinie jakiej; znać tu bogactwo i hojność przyrody, a tam hen dalej i wyżej ku krańcom widnokręgu kołyszą się w przestworzach dymy komi-

minów fabrycznych, wyzierają wierzchołki tych kolosów z kamienia, i dolatuje uszu głuchy szmer ludzkiego mrowiska.

Tu w dolinie zaklęty świat ciszy i spokoju — ani trzcin i oczeretów na wybrzeżach tej martwej tafli szklannej, ani drzew i krzewów dokoła — tu ustało, czy skończyło się życie nagle — jednej chwili. Kiedy? jakim sposobem?

Żeby też jedna łódź lub czółno na powierzchni wodnej—żeby jedna chata rybacka u wybrzeży! Nic — zupełnie nic!

Gdy odejdziesz tym wąwozem, którym się dostałeś tutaj, i pierwszą spotkaną istotę ludzką zapytasz o tę zagadkę, która cię takiem przejęła zdumieniem, to odbierzesz jako objaśnienie najczęściej milczące ruszenie ramion, albo niechętny ruch ręki. Wyraźnie nie lubi człowiek tutejszy, aby go badano o te sprawy.

Mnie osobiście przychylniejszymi nieco okazały się losy. Po wielu próbach daremnych trafiłem na człeka mowniejszego od innych, który mi na razie kilku oto takich udzielił wiadomości:

Jezioro zwie się Szaniec. Tak go nazwano, gdy się ukazało ludziom, i tak je

nazywają dotąd. Nie ma na niem porostów jak na innych wodach, ani drzew po brzegach, bo tam każde życie zwierzęce czy roślinne zmartwieje odrazu. Powiedział mi też, że ptactwo wodne ucieka od tej fali, a ryba wpuszczona zasypia natychmiast.

Naciskany dalej, acz niechętnie, opowiedział jednak, że byli tacy, co się uwzięli na poznanie tajemnic martwego jeziora, ale życiem opłacili śmiałość swoją. Dwóch ich było różnymi czasy. Każdy wypływał łodzią i kierował się ku środkowi wody, ale tam na głębi samej stawał nagle i zaczynał wpatrywać się w toń przejrzystą. A potem widzieli z brzegów ludzie, jak jeden i drugi porzucał wiosło, zanurzał się w te straszne martwe wody, i żadnego już nie oglądały ludzkie oczy. Co to byli za jedni? — niewiadomo.

— No i nikt nie probował po nich?

Probował ci jeden, niby jakiś także zdala przybyły — obcy, ale i temu nie lepiej się poszczęściło od tamtych, ba! może i gorzej jeszcze. Bo to tak zawsze bywa,

jak się człek śmiertelny uweźmie na co, przeciw wyraźnej woli Bożej.

— No, ale ten żyje przecież?

— Jużciż niby żyje, ale co takie życie! Pomięszał mu się rozum; odrazu zaczął rozpowiadać niepodobne rzeczy i tak został już, a teraz bawią się nim tylko dzieci, bo się od niego jednego mądrego słowa nie doprosić. Dopuszczenie Boże i tyle.

— Gdzież on jest?

— A gdzieżby jak nie nad tą wodą. Od świtu do nocy pokutuje tutaj, a wieczorem, jak go głód zmorzy idzie od progu do progu i żebrze. Dać, to mu tam dają ludzie miłosierni, ale do pogawędki z nim nikt się nie kwapi, bo niewiadomo nawet czy się od takiego nieszczęśliwca nie czepi złe jakie. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Temi słowy pożegnał mię jedyny człowiek tutejszy, który się na taką krótką indagacyą wyciągnąć pozwolił.

Szaniec! Zkąd Szańcem nazwać mogli ludzie spokojną jak śmierć taflę wody rozlaną w dolinie? Zkąd martwota tej toni tajemniczej? Co widzieć mogli

w tem przezroczu tak strasznego, czy tak pociągającego ci dwaj, którzy dobrowolnie szukali w niem śmierci?—co zobaczył ten ostatni, który postradał zmysły?

Nadto niepokojącem było to wszystko, abym odejść mógł z tamtych stron bez pokuszenia się o klucz zagadki. Z niemałym trudem odszukałem tego odludka jakiegoś—z większym jeszcze daleko udało mi się zdobyć ufność zrażonego już niewiarą i szyderstwem ludzkiem, a to com od niego wydobyć potrafił, opowiem i wam czytelnicy, aby kiedyś, gdy się komu z was nad brzegami tego jeziora śmierci znaleźć przyjdzie, miał już taki gotową w pamięci legendę, podanie czy baśń dotyczącą jego losów.

Posłuchajcież!

* * *

Dalej niż wzrok ludzki od środka jeziora dosięgnąć zdoła, dalej nawet niżby z tego punktu w promieniu ku każdej z czterech stron świata człowiek pieszy dojść mógł od wschodu do zachodu słońca, ciągnęły się ongi obszary stanowiące własność rodu Szanieckich na Szańcu.

Ich były te łany żyzne, ich te puszcze nieprzebyte, te sioła ludem rolnym zasiedlone, i stada na błoniach, i ten gródek w dolinie po nad krętą rzeczułką, którego śladów dzisiaj pod oną przejrzystą taflą daremnieby szukał przechodzień. Nie zbudowali sobie Szanieccy siedliska na żadnem ze wzgórz wznoszących się dokoła dzisiejszego jeziora, bo ich tu w tej dolinie zatrzymało podanie rodowe, o którem wam kiedyindziej opowiem, ograniczając się dzisiaj do tej tylko wzmianki, że podanie pięknem było jak marzenie senne, a choć nie wieżycami potężnemi ku niebiosom strzelał ten ich zameczek, ale w niebiosa porywała serca ludzkie myśl o zasłużonej czci tego rodu, i miłości ludzkiej, która go otaczała. Szaniec był szańcem prawdziwym.

Po wiekach chwały i szczęścia przyszły na ród ten lata próby i doświadczeń. Równomiernie z tem jak malało dokoła nich, maleli i oni; nie ubywało im wziętości u ludzi, ale ubywało mienia i dostatków. Topniały puszcze, odpadały obszary. Na ich niegdyś ziemiach zagospodarowywał się przemysł, wznosiły siedliska nowej pra-

cy zapoczątkowanej przez obcych, a oni cofali się ciągle ku temu gniazdu swojemu, zawsze jednacy — zawsze wierni myśli, której zawdzięczali imię i wziętość swoją.

Nie będziemy iść krok za krokiem tych przeobrażeń, czy tego chylenia się ku nicości, a zatrzymamy się na ostatnim z rodu, którego ślady przechowały się jeszcze w pamięci ludzkiej. Ten, gdy się w dniu pewnym ujrzał ojcem piątego z kolei dziecięcia, wyszedł o porannym brzasku, aby u grobu przodków pokłonić się Bogu za nowy dowód Jego łaski, ale stanąwszy na skraju dzisiejszych posiadłości swoich, powiódł nagle okiem dokoła, rozejrzał się, i westchnąwszy boleśnie powiedział głośno, jak gdyby pewnym był, że jest słyszanym przez tych, do których mówił.

„Tu chyba będzie już kres! Dalej zstępować nie sposób. I teraz już Szaniec nie jest szańcem żadnym; jeszcze chwila — jeszcze jedno uszczuplenie, a to co szanowano niegdyś popadłoby na śmiech i szyderstwo ludzkie. Nie można do tego dopuścić. Z woli Bożej zmaleliśmy, ale zubożeć a zmarnieć to inne zupełnie

pojęcia. Trzeba złożyć w ofierze duchowi czasu to, co mu jak widać z prawa należy, a ocalić to, co należy niepodzielnie do nas. Dzieci muszą szukać bytu, tam gdzie on jest możebnym, a powinien się między niemi znaleźć jeden taki, coby na tym złomku pozostał, opowiedział kiedyś ludziom koleje tego gniazda zbożnego i wytłumaczył, dlaczego ono dzisiaj nie takie jak było. Tymczasem pora im szukać światła, bo jak widać, przyszłość w ręku tych, co je zdobyć potrafią.

Tak postanowił — tak się stało.

* * *

Stary Szaniecki owdowiał wkrótce potem. Dzieci rosły i kolejno wychodziły w świat po one zdobycze, do których im przystęp ojciec otworzyć postanowił, a nie zmarniała widać rasa w tych odroślach ostatnich, bo tak jak wyróżniali się ich ojcowie przewagą siły i ofiarnością serc, tak przodował z nich teraz każdy umysłem, i szedł wielkimi kroki ku temu celowi, ku któremu zmierzało wszystko w nowych warunkach bytu. Jedyne dziecko, które przy nim zostało, to było ono osta-

tnie, a jakkolwiek dziecięciem tem była córka, która nie mogła uświetnić i przekazać imienia, ani go nawet zatrzymać dla siebie, to jednak szczególnie miłował ją ojciec, bo i w rysach miała ona bodaj że najwięcej cech zewnętrznych rodu, i charakterem szczególnie przypominała to, co ojcu we krwi jego najbardziej było po sercu. Nie przewidywał jednak ten ojciec, że duch czasu, któremu się raz pokłonił, zażąda niebawem od niego jednej jeszcze ofiary, i to takiej, którą mu spełnić będzie najciężej. Synowie corocznie odwiedzali dom rodzicielski, przywozili doń to, czem ich karmiono samych; dziewczę słuchało tych rzeczy dla siebie nieznanych, a że jak mówił ojciec, była ona krwią ze krwi i kością z kości tego szczepu, więc nie dziw, że płonęło to serce do każdej myśli, która mu się szlachetną i żywotną wydała—że gorzała ta główka jasnowłosa, a rumieniec wstydu zalewał czoło na myśl, iżby ona jedna w tyle pozostać miała — ona, Szaniecka.

Tyle podobnych jej, szuka dzisiaj nowych dróg, a ona... Drżała na przypuszczenie samo, żeby się z tem odezwać, ale tru-

chlała, kiedy się przed nią jawiło widmo nicości i zapomnienia, a prócz tego zapomnienia i tej nicości nie przeczuwała dla siebie nic w onym zakątku odosobnionym od świata. Cóż robić! Taki był ów duch czasu, o którym mówił Szaniecki, a którego nieznał jeszcze ten stary czciciel epoki skończonej i zamkniętej.

Ten duch zabrał staremu ojcu jego wielką miłość; ten duch z którym on się godził już w mniemaniu, że go przejednał tem co mu oddał dotąd, zażądał od niego zbyt ciężkiej daniny, zmusił do złorzeczeń i resztę dni goryczą zaprawił. Urocza rusałka tej doliny, dziewczę jasnowłose otrząsnęło skrzydełka swoje, i choć z bólem w sercu, choć z tęsknotą za ojcem i tym zakątkiem cichym, odeszło w świat za innymi.

Teraz rozpoczęła się dla starca nowa i ostatnia faza w życiu. Niby dąb podcięty zachwiał się w istnieniu swojem. Nie czekał już teraz — nie spodziewał się, nie wyglądał nikogo — teraz czuł, że dożywa końca dni swoich, że mu wzięły losy to, czego on do złożenia nie miał na żadnym z ołtarzy nowych. Teraz on wie-

rzył, że epoka, która postanowiła nie zostawić nic na miejscu, z pewnością nie poszanuje nic z tego, co on uznawał za godne poszanowania. Jak tedy zapobiedz zagładzie samej zasady? Co wogóle znaczyć może zasada jakakolwiek u tych ludzi nowych? Co zależeć będzie komukolwiek na rodzie, przechowującym w czystości tradycyą z pokolenia w pokolenie, jeśli ta tradycya na nieodwołalną skazana zagładę? Czem nakoniec ukażą się własne jego dzieci w tym nowym ustroju społecznym? Dotąd mówił do nich, przypominał i uczył—był słyszanym, ale czy był słuchanym i pojętym?

Wątpliwość rodziła się jedna z drugiej. Obmyślał środki, wynajdywał zaklęcia, pisał i darł kolejno rozporządzenia pośmiertne, a w tych zapasach zużywał ostak sił i reszty spokoju ducha, jaki mu pozostał.

W ten sposób przepędził dwa ostatnie lata swojego życia, a gdy uczuł, że godzina porachunku się zbliża, zawezwał dzieci, aby je przed śmiercią pożegnać, i jeśli będzie można przemówić do nich słowem prośby, za tym zakątkiem ziemi,

o którego losy tak się niepokoił w ostatnich czasach. Na wszelki wypadek zostało i pismo do wszystkich razem wystosowane, a był ten akt przezorności bardzo potrzebnym, bo oprócz córki, która przybyła na czas, i miała jeszcze sposobność pożegnać ojca i wysłuchać jego zaleceń ostatnich, z synów nie zastał go żaden przy życiu.

Starca pochowano w grobach opactwa, którego założycielem był prapradziad jego, i skończyło się tak, jak się kończy na tej ziemi wszystko — śmiercią, a nie daj Boże — zapomnieniem.

Za wielkim dębowym stołem sklepionej komnaty, siedzi pięcioro rodzeństwa po tym zmarłym człowieku, którego przed kilku dniami złożono w grobie. Patrzysz na nich, zwracasz oczy na twarze tych, co martwi na wielkich płótnach rozwieszonych dokoła, spozierają na one ostatnie odrośla swoje, i widzi ci się, że to pozornie ci sami, a istotnie inni całkiem ludzie. Poorała widać praca myśli te czoła młode przedwcześnie; jest w oczach życie, i siła znalazłaby się może, ale to ani tamta siła, ani myśl ta sama

Inaczej znać urabiało ich życie — innymi zostali ludźmi. Niby ptactwo, które zabyło szlaku do rodzinnego gniazda, ściągali oni tutaj pojedyńczo z różnych stron świata, a teraz oto patrzą w twarz siostry, która im czyta jakiś dokument długi. Skończyła właśnie. Poczekajcie— wolno nam patrzeć i słuchać po przez czas i przestrzeń — skorzystajmy z tego przywileju; może się odezwie który z tych ludzi i powie nam, co im takiego przeczytała ta ich najmłodsza. Ona się zwraca teraz do tego, co wprost niej siedzi— do tego z twarzą poważną i włosem rzedniejącym na skroni.

— „Ani jednem słowem — zaczyna tenże, — nie chciałbym podawać w wątpliwość myśli i zasad, któremi się rządził w życiu nasz ojciec. Uważam, że to jest nie czas i nie miejsce odpowiednie. Skoro jednak zniewalacie mnie do tego, będę musiał wypowiedzieć się szczerze i otwarcie:

„Przedewszystkiem, mnie te sprawy nie wydają się wcale tak ważnemi jak ojcu, i żądać, abym się niemi przejmował ja, jest to żądać wprost niepodobieństwa.

„Żyję w innym świecie, inaczej pojmuję zadanie człowieka, a jakkolwiek radbym wszystko wyrozumieć i wszystko usprawiedliwić, niemniej sądzę, że kto idzie tą drogą, ten życie rozprasza na drobnostki.

„Tylko całkowite niemowlęctwo duchowe, nieświadome praw ciągłej przemiany idei, może się przy jakimś, przez siebie wyimaginowanym, stanie rzeczy upierać — tylko ludzie w ciemnościach błądzący mogą siebie i swoje maleńkie sprawy uważać za rodzaj osi, dokoła której wszystko się obraca. Ja im z tego nie robię zarzutu, tak jak nie oskarżam ich pradziadów o to, że żyli po lasach i jaskiniach, tylko nie widzę takich różnic między tamtym, a dzisiejszym stanem, jak widzi wielu. Z teraźniejszego poziomu duchowego ludzkości dumnym się nie czuję wcale; patrzę w przyszłość, i staram się myślą sięgać tak daleko, jak daleko ona przeniknąć może, a wierzę silnie, że granicy dla ducha nie ma żadnej, i że chcieć — jest to módz.

„Dlatego wierzajcie mi, iż gdyby mi się czemś podobnem jak to, o czem mówi pismo ojcowskie, zaprzątać przyszło,

wydałoby mi się, iż jestem jednem z dzieci stawiających z patyczków mosty przez rzekę, której koryto wyżłobiło to dziecko ręką własną w piasku, i do której nalało wody przyniesionej przed chwilą w szklance.

„Od Szańca nic nie żądam; dał on mi możność zostania, tem czem jestem dzisiaj. Za to mam dla niego rodzaj przychylności, i życzę mu, aby miał opiekuna lepszego odemnie.

— „W takich nieskończonościach ja nie przebywam wcale, odezwał się z lekkim przekąsem drugi z braci, ale tak mniemam, że świat myśli wart jest świata tonów, choćby dlatego, że nie ma takiej myśli, którejby dźwiękiem wyrazić nie było można. Wojny jednak o to prowadzić nie chcę, bo w ogóle sporów unikam jak najstaranniej, ze względu, że te ujemnie działają na mój system nerwowy. Odnośnie do sytuacyi danej, uważam za właściwe wypowiedzieć dno moiej myśli, bo tu idzie o żądanie, do którego spełnienia ja osobą moją w niczem przyłożyć się nie mogę.

„Do uprawiania tak zwanego ojczystego zagona nie przysposobiło mię życie, ale ponieważ byli zawsze tacy, którzy się temu oddawali — ponieważ są dzisiaj jeszcze, i przypuszczalnie będą w przyszłości, przeto nie sądząc ich upodobań osobistych, wolno mi tylko powiedzieć, że ich liczby pomnażać nie myślę. Nawiasem mówiąc, za pretensyonalne i naciągane uważam intencye wyszrubowania z tego idei jakiejś, bo tu o idei mowy być nawet nie może, i wogóle zrobiłem sobie oddawna to spostrzeżenie, w którem mię dopiero co przeczytane pismo utwierdza, że pierwotne stany kultury równie bywały skłonne do frazesów i deklamacyj jak doskonalsze — dzisiejsze naprzykład. Bardzo dużo deklamacyi takich usłyszeliśmy wszyscy przed chwilą, a na mnie ten żywioł oddziaływa przygnębiająco.

Zresztą niechaj sobie każdy tworzy przyszłość wedle własnego widzenia rzeczy, i w myśl własnych upodobań; niechaj w to wkłada życie nawet całe—ja nie znosząc przymusu dla siebie, nie narzucam moich zapatrywań nikomu. Cenię wysoko sztukę, pojmuję, że ona sobie samej celem

dostatecznym być może — innych celów w życiu nie mam i mieć nie chcę...

— „A jednak i ta reszta ma także swoją racyą bytu, przerwał z ironią w tem miejscu, trzeci z braci Szanieckich. Nie takie to znowu błache i małoważne to wszystko, od czego odwracają się ludzie w imię owego kapłaństwa sztuki, które nawiasem mówiąc, na swój sposób jest także blagą, i to nie byle jaką blagą. Praca około dobrobytu materyalnego jest zadaniem wcale niepośledniem, i byle ją oprzeć na zdrowych podstawach, jest czem wypełnić życie człowieka. W danym wypadku, ja naprzykład mógłbym to zadanie wziąść na siebie, z tem wszakże z góry postawionem zastrzeżeniem, iż moje dzieło w żadnym razie dalszym jakimś ciągiem być nie może odnośnie do tego, co tu dotąd miało miejsce — owszem mogłoby ono być czynnym protestem i ekspiacyą za odwieczne krzywdy, jakich na tym Szańcu dopuszczali się tak zwani przodkowie nasi

Rozumie się, że przewidywania ojca naszego nie szły tak daleko, i nie dziwię się temu, skoro nawet na czole jego córki a sio-

stry naszej dostrzegam już tę charakterystączną zmarszczkę, która, jak mnie uczono w dzieciństwie, miała być przywilejem czy chwałą znakomitego rodu Szanieckich. Skoro tedy nie znajduje się w testamencie ojca nic takiego, coby dawało nadzieję pracy dla mnie w tym jego umiłowanym Szańcu, pozwólcie mi ztąd pójść, gdzie mnie woła moje posłannictwo, a i to powiedzieć muszę, że wolałbym istotnie, aby się to zapadło pod ziemię, aby to pochłonął ogień lub zabrała woda, niż abym ja miał być biernym choćby uczestnikiem tych przegniłych form bytu, które na swój wstyd i krzywdę tolerowała ludzkość aż nadto długo niestety.

— „Prawdziwą krzywdę podjął najmłodszy z braci, stanowi dla świata mrzonka, bez względu na to, jaką przybiera ona formę. Utopija postępowa czy utopija zachowawcza jest bzikiem, który wobec jedynego na świecie dobrze pojmowanego prawa walki o byt ostać się nie może. Co do nas, to o ile mi się zdaje, niemamy czem psuć sobie krwi, bo ja tu *n* razy słyszałem wymówiony termin *ojcowizna*, a ja w tem wszystkiem co tu zasta-

ję, ojcowizny nie widzę żadnej. Podług mnie, ojcowizna to coś konkretnego zupełnie, dającego jakieś korzyści materyalne, przedstawiającego wartość stałą, pozwalającego się dzielić, aljenować i t. d. Nie widzę, żeby Szaniec był jedną z wartości takich, i dla tego pozwólcie mi wynurzyć mój całkowity brak sympatyi do tego zkądinąd miłego dosyć zakątka. W tej sprawie mógł sobie przesławny ród Szanieckich, wiedzieć swoje, a ja wiem swoje. Skoro jednak o tym długim szeregu mamutów mowa, to mam sobie za obowiązek objaśnić, że o ile dla tamtych przedwiekowych nie żywię w gruncie rzeczy ani miłości ani nienawiści, o tyle ci ostatni są dla mnie obrzydzeniem prostem.

Jadąc tutaj, miałem myśl zażądania od was murów tego starego opactwa, przy pomocy których mógłbym się rzucić na zrobienie konkurencyi jednemu z ościennych przemysłowców—temu faktycznemu dziedzicowi Szanieckich—rozporządzenie ojca kładzie tamę moim zamysłom. Niechajże i tak będzie. Snuć waszej sielanki, ani nawet patrzeć na nią nie mam zamiaru; kojca rodzinnego propago-

wać nie myślę, pozwólcie mi zatem odejść pierwszemu.

Tak się zakończyła rada familijna nad testamentem starego Szanieckiego.

Odszedł ten ostatni, odchodzili za nim koleją inni, a ona patrzyła suchem okiem za każdym z nich, i nie czuła nawet sieroctwa i osamotnienia własnego. I ją przyspasabiało życie do innych pragnień, i przed nią otwierały się widnokręgi innej działalności, ale wbrew oczekiwaniu wstrząsnęło nią do głębi duszy wszystko, co zastała tutaj. I ten starzec dogasający, i ta przyroda taka rozżalona i smutna, jak gdyby żegnała w nim ostatniego ze swoich wiernych, i te twarze sług starych witające ją u proga łzą serdecznego współczucia — wszystko to niby światło i ciepło słoneczne topiło lody jej ducha zakrzepłego w racyonalizmie, broniącego się uporczywie przeciw wszystkiemu, co ją przekora chwili nauczyła lekceważyć lub nienawidzieć.

Reszty dokonała nienawiść — nienawiść namiętna tych, których urodził ten szmat ziemi, a którym oni nauczyli się gardzić dla tego, że był już na tę chwilę

takim szczupłym—takim nędznym i opuszczonym, jak pochylony krzyż na rozdrożu.

Nie mogła powiedzieć narazie, że ona to miłuje, ale czuła spełniającą się krzywdę i oskarżała o nią serca najbliższych sobie.

Nie robiła żadnych postanowień pozostania przytem do końca dni swoich, ale rozumiała dobrze, że ztąd odejść by nie umiała, i że za tą nędzą tęskniłaby w głębi samego nawet Edenu.

O braciach dochodziły ją różne wieści.

O najstarszym opowiadali ludzie, że szukał ciągle rozwiązania zagadki swojej, że go ten głód wiedzy pędzał po świecie, aż go zapędził do jakiegoś Tybetańskiego eremu, w którem żyje, i z którego spodziewa się przejść do Nirwany.

Drugiego odmienne były losy. Czy mu to jego bóztwo wystarczyłodo końca życia—czy przeciwnie kapryśna bogini odmówić mu miała najwyższych darów swoich—twórczości i sławy, o tem nie dowiedziała się nigdy.

Trzeci z braci kołatał się po świecie, cierpiał, jak mówili, bardzo wiele; dużo o nim mówiono w pewnej epoce, ale jej to wszystko było nie po sercu, i prócz wielkiego

żalu za nim i za zmarnowanymi lepszymi pierwiastkami jego ducha, nic dlań z siostrzanej miłości w jej sercu nie zostało.

O ostatnim nie można powiedzieć, że nie słyszała, ale raczej — że nie chciała słyszeć. I ten zmienił wszystko, co się dało zmienić, zapewne na owe walory, które cenił sobie ponad wszystko....

A ona sama?

Ona została na tym Szańcu, żyła w tym domu starym, patrzyła na mury odwiecznej świątyni chylącej się do upadku, spoglądała na te pola smutne, po których kłębiły się szare dymy pędzone wichrami z kominów fabrycznych, czytała z trwogą w twarzach tego ludu, który jej wykradał stopniowo przemysł, gdy po jakimś roku ukazywał się jej oczom taki inny niż dawniej, taki odmienny a wynaturzony, i wzrastała w niej stopniowo nienawiść głucha ku wszystkiemu, co odrywa człowieka od jego kolebki — przyrody — co go nęci obietnicami nigdy niedotrzymywanemi.

Ten przemysł! wszak on i ją otaczał powoli siecią swoją wszechpotężną. Chciał ją wywłaszczyć kusząc zyskami, za któ-

rych odrzucenie stała się przedmiotem szyderstw i urągowiska ludzkiego. Ona odpowiadała zawsze swoje:

— Nie oddam tej reszty.

— Zginiesz—mówili ludzie.

— Potrafię zginąć. To znaczy niekiedy więcej niż żyć.

Przedstawiano jej, że wnętrze jej ziemi mieści skarby prawdziwe, i że od niej tylko zawisło, aby zdobyć bogactwo.

— Niechaj tam będą te skarby. Nie dla dzisiejszych ludzi bogactwa. O tyle są mniej szkodliwi — o ile mniej mają tej potęgi w ręku.

Mówili o niej powszechnie, że obłąkana. Wiedziała i o tem, ale i to nic jej nie przeszkadzało, jak wszystko w ogóle co się działo na zewnątrz tego maleńkiego świata, w którym się zamknęła.

Co rok bardziej dojmującem stawało się jednak jej sieroctwo. Stare sługi wymierały, a młodsze pokolenia dotykała zaraza, którą wyziewały warunki nienawistnego dla niej bytu.

Przeciw komu są ludzie—przeciw temu i żywioły.

Tam w dole tej rzeczułki wijącej się

srebrną wstęgą wśród szmaragdów łąk, wysadzał pewnego dnia któryś z właścicieli fabrycznych skałę, która mu przeszkadzała rozszerzyć jego gmachy.

Niezmierny łoskot obudził w nocy samotnicę Szaniecką. Nie wiedziała jeszcze co to, ale instynkt ostrzegł ją, że ten grom potężny zagrzmiał nad nią i dla niej.

Złomy granitowe wraz z osypiskiem ziemnem zawaliły przy ujściu samem koryto rzeczułki, która nagle występować zaczęła z brzegów.

Co żyło uciekało ku wzgórzom.

Ryk trzód, nawoływanie się ludzi wzajemne — wszystko zwiastowało dzień sądu i zagłady.

Co się stało dalej—nie dowiedziano się nigdy — to pewna, że właścicielki Szańca nie widział odtąd nikt z żyjących. Na domiar klęski otwarły się szluzy niebieskie, i przez dziesięć dni z rzędu lały potoki deszczu.

Po tych dziesięciu dniach cała dolina zamieniła się w to jedno wielkie, ciche, martwe jezioro, które Szańcem zwą do tej pory.

* * *

— Tam jest wszystko tak jak było — mówił do mnie w końcu mój obłąkany. I łany zboża kołyszą się przy każdym podmuchu wiatru, tak jak kołysały się w przeddzień onej powodzi wielkiej, i drzewa okrywa liść bujny.....

— „A ona?

— Żeby jej tam nie było, to i ci dwaj nie byliby potonęli, robił uwagę opowiadający.

— A któż byli ci ludzie?

— To ty jeszcze nie wiesz? — pytał zdumiony.

— Jeden z nich, to ten co w gwiazdy patrzył, a ziemi widzieć nie chciał pod nogami.

— A ten drugi?

— Ten drugi, to tamten biedak, co w potęgę dźwięków wierzył tylko.

Tamten jeden tu nie wróci. Onby nie śmiał. Ja wiem, że on nie wróci. Zresztą jużeśmy tu wszyscy znowu.

Mówił o najmłodszym. Najwyraźniej sam był on tym trzecim z kolei w rodzie Szanieckich.

LACRIMAE RERUM.

Jeśli tak nielitościwem było dla ciebie życie, żeś w młodości już widział kłamany żal za utraconem szczęściem, udane tęsknoty za ideałem, i próżną, a zawsze wstrętliwą pozę dusz nizkich.

Jeśli na tyle patrzyłeś dramatów w życiu rzeczywistem, że ci dramat na scenie nieudatnem tylko wydaje się przedrzeźnianiem cierpienia.

Jeśli przestało echem odpowiadać serce twoje, gdy czytasz sam lub słuchasz odczytywanych jęków, bólów a skarg, choćby z najmisterniejszą sztuką oddanych.

Jeśli ci wypadkiem wpadła w rękę nieopatrznie przez poetę porzucona kartka z poprawkami i wyryantami, na której pozostały ślady dobierania końcówek i kunsztownej dyzlokacyi słów a okresów, gwoli niechybnego wywołania wzruszenia

u czytelnika obdarzonego tak zwanem poczuciem artystycznem.

Jeśli wogóle syt jesteś komedyi i maskarady dnia powszedniego, a lękasz się oddania hołdu boleści noszonej na pokaz; jeśli mimo to wierzysz w smutek jako lekarza i mistrza duszy ludzkiej, a łzę uważasz za takie dobrodziejstwo dla serca, jakiem jest rosa dla kwiecia rozsypanego po łąkach i niwach — porzuć wyjałowiałą dziedzinę bytu, w której oszpecił człowiek wszystko co piękne przesadą i wszystko co szczere obłudą swoją, a szukaj smutku i łez u rzeczy martwych, gdy ci ich już żywy twór Boży dostarczyć nie może. Wierzaj mi, że wielki i wymowny bywa na świecie smutek tego co nie żyje.

Chodź ze mną. Pokażę ci, jak skarżyć się potrafi przyroda, i jak płakać mogą rzeczy martwe, gdy na nich pozostaną mistyczne ślady miłości ludzkiej, ludzkiego cierpienia, i tęsknoty za tem co było.

Wszak znasz, lub znałeś przynajmniej, ów szum sosen i dębów wiekowych, śpiewających Wszechmocnemu swój hymn po

starych puszczach i uroczyskach naszej ziemi?

Chodź. Pokażę ci, co zostało z tej pieśni przyrody i z tych olbrzymów roślinności, które patrzały na pokolenia— olbrzymy.

Te nieprzejrzane obszary usiane dzisiaj szarymi jednostajnymi pniami—ta ściskająca serca pustka, to dzieło człowieka, a ten jęk wichru po gołoborzach wypalonych skwarem słonecznym, to skarga ziemi i westchnienia duchów stęsknionych za odlotem ku wieczności.

Ot tam, na skraju samym tego morza pni drzewnych i wygorzałej piaszczystej przestrzeni, pozostała jedna sosna skarlała—ostatnia z tego posiewu. Ale już nie dano było tej samotnicy strzelić ku niebiosom wierzchołkiem swoim. Rozrosła się krzaczasto, szpetnie, niby kaleka pokrzywdzona i cichą skargą wypowiada swoje: Nie ma!

Odkryj głowę przechodniu, i odmów krótkie: „Wieczny odpoczynek..., boć przecie masz przed sobą na pniu tej sieroty, w zagłębieniu drzewa wizerunek Bogarodzicy. Umieścił go tutaj na dni nie-

wiele przed śmiercią swoją ostatni stróż tej puszczy. Zginęły bory, umarł on, i oto znak, że skarżył się Bogu tym obrazkiem na wnuki, którym tak pilno było zaprzepaścić pracę dziadów.

Potrafią niszczyć i żywioły także, ale w ich dziele jest zawsze ślad jakiś wszechmocy tworzenia.

Zniszczyć doszczętnie, i zatrzeć ślady— tak niszczyć umie jeden tylko człowiek w zapomnieniu swojem.

Biada tym, którzy niszczą i obalają!

* * *

Czasem, czasem przemówi do cię rzecz martwa niemą wymową swych kształtów steranych i żal w twem sercu obudzi— żal szczery, głęboki.

Ot tam widzisz śród zapomnianych i porzuconych drobiazgów leży pierścionek stary, pogięty, zniszczony. Nikt nie wie do kogo należał on przed laty, nikt nie powie dzisiaj, zkąd się wziął tutaj... pierścionek niewielki, snać na palec kobiety przeznaczony.

Weź go w rękę... napis na nim był

jakiś!... Zatarty teraz... Ileż wspomnień zaciera się w duszach ludzkich, jak te literki złote. Data... tak data musiała tu być niegdyś. I któryż to dzień w roku pierścionkiem miał być upamiętniony? Hej — hej pamięci ludzkiej nawet na spiżu ryte wyrazy niezawsze przychodzą w pomoc, a od tego kawałka metalu wieje smutek jakiś nieokreślony... przypatrz mu się jeszcze... Z pod warstwy pyłu występuje coś jak krzyżyk emaljowany, a tu znowu listeczki—zaledwie rozpoznać je można, dalej gwiazdka... może symbol jednej z tych idei, co jak strumień ożywczy szły przez pokolenia i świeciły pokoleniom.

Snać w grobie już dzisiaj właściciele tej obrączki zczerniałej — inaczej nie rzuciliby jej chyba w taką poniewierkę... Zresztą Bóg jeden wie, co się dzieje niekiedy z sercem człowieka.

Mnie coś mówi że oni nie żyją... nie żyją oboje — i ona to blade jasnowłose dziewczę, i on ten dziwny, zatarty w pamięci ludzkiej, a dla mnie jak żywy... Coś mi szepcze, że oni nie na życie i szczęście slubowali sobie tym symbolem spójni nierozerwalnej, ale na rychłą rozłąkę do-

czesną i wieczną miłość w przeczuwanych krainach innego bytu, tego bytu w którym już niema cierni, łez i rozdziału.

I po jej licach płynęły wtedy łzy ciche, rezygnacyi pełne, a on stał zapatrzony w przeznaczenie swoje, i wzrokiem dodawał jej otuchy, której nie było w jego duszy....

Bierzesz ten pierścionek do ręki—myślisz zapewne w ten sposób uchronić go od zniszczenia? Zostaw go tutaj—zostaw proszę w pyle tej poniewierki która mu była sądzoną. Tutaj płacze on opuszczeniem swojem—tu mówi do serca całą goryczą wyrzutu. Może kiedyś znowu, po latach, wezmie ktoś w rękę tą obrączkę raz jeszcze, i twarze smutne tych dwojga niepoślubionych ukażą mu się jak nam oto w tej godzinie. Są rzeczy, które z pyłu i zapomnienia wielkim wołają głosem.

* *
*

A powiedż mi czytelniku czy znasz ty poddasza wiejskich naszych dworów i dworków?

Jeśli nie widziałeś tego nigdy, to radzę ci wejść tam ze mną na chwilę — na jedną krótką chwilę tylko.

Część mieszkalną właściciela dzisiejszego znasz przecie dobrze, bo mi sam nieraz chwaliłeś smakowne urządzenie się człowieka, który pojmuje co winien samemu sobie i duchowi czasu, w zamian za te zdobycze i udogodnienia, z których korzysta. Tam na tem poddaszu, na którem gospodarują myszy i pająki, może się jednak wśród stosu pogruchotanych sprzętów znaleść coś takiego, co warte będzie uwagi twojej. Poszukajmy razem, bo widzisz czytelniku, ja umiem szukać i wiem jakie to można niekiedy odnaleźć rzeczy między temi, które służba wynosi, aby widokiem swoim nie nadwerężały dobrego humoru pana domu, albo jego towarzyszki. Stadło, które tu mieszka, jak ci dobrze wiadomo, bywa niekiedy skłonne do rozdraźnień, zwłaszcza gdy cokolwiekbądź miemile połechce nadczułość jego smaku estetycznego, a cenią oni sobie oboje niezmiernie te nabytki cywilizacyi, bo widzą w nich usprawiedliwioną wyższość swoją

nad wszystkimi, którzy ich w tej starej siedzibie poprzedzili.

Patrzaj no tu w tym rogu; mnie przeczucie mówi, żeśmy tu coś znaleźć powinni. Zaczekajże! Dobry duch prowadził nas widocznie! Znowu książka! Dobrze przynajmniej, że tym razem nie będziemy się biedzić nad zdecyfrowaniem tytułu. Stara ona jak świat i wszystkim znana—chociaż co prawda nie wszystkim z tych, którzy dzisiaj żyją. A to drugie? Ten jakiś niby obrazek za szkłem potłuczonem to nasza „Częstochowska“ jak ją wyobrażano dawniej dla tych, którzy porównywać nie umieli, nic lepszego nie znając, a jakąś zabobonną wiarę przywiązywali do tych rysunków nieudolnych. Może jeszcze cokolwiek? Oto masz i resztę śladów naiwnego fanatyzmu tych dobrych ale biednych kobiecin dawnych! Boże mój drogi! toż ty może nawet nie znasz tego—jakby to powiedzieć... tego amuletu? Odgadłem.—Wszak prawda? To widzisz nazywało się ongi różańcem w języku umarłych. Ja znam ten różaniec i znam nawet historyę jego. Matka dzisiejszej właścicielki tych ziem dostała go w dzień

bierzmowania swego od dziada, a ten znowu był jednym z tych co się sługami Maryi nazywali. Patrzaj, jakie zużyte w rękach paciorki tego różańca. Istna Chińszczyzna! Powiadasz. Cóż robić? Inni ludzie—inne wyobrażenia! Ta, która zamieszkuje obecnie ten dom, niemożebne trudy zadała sobie przy jego urządzeniu, a że do tego celu należało przedewszystkiem pozbyć się wszelkiej staroświeczczyzny, więc wyniesiono hurtem na strych graty bezużyteczne i sprzęty, z którymi nikt nie wiedział co zrobić. No i tym sposobem poszedł na górę ten Ołtarzyk złoty, i ta Matka Boska Częstochowska, i ten różaniec dziwaczny.

Do mnie jednego może, com znał myśli tej staruszki w jej dniach ostatnich—com słyszał nieraz od niej, iż modli się ona dnie całe o to już tylko, aby jej dziecku było dobrze w życiu z tem co sobie wybrało samo—do mnie mogą przemawiać te zabytki. U córki, która dosyć przecierpiała nad tem wstecznictwem matki, za jej życia jeszcze, przedmioty te mogą wywoływać wspomnienia tylko ujemnej natury. Szanujmy opinie cudze, jeśli

chcemy, aby szanowano nasze... Wszak tak się mówi u was?

Pobladłeś jakoś; nie daj się opanowywać wzruszeniu, bo ci mam coś do pokazania jeszcze. Może to i nie dobrze zresztą tak się poddawać pierwszym lepszym wrażeniom, bo i sam fakt wyniesienia tych przedmiotów niejeden poddałby krytyce bezstronnej. Wreszcie, pokój umarłym...

Chodźmy!

* * *

Widzisz ten zeszyt papieru i tę garsteczkę kwiecia zasuszonego? Niby to nie mówi nic, a gdybyś ty wiedział jednakże...

Posłuchaj:

Było dziewczę młode, które kochało wszystko co dobre, szlachetne i piękne, a po nad wszystko wspomnienie matki, którą utraciło w dzieciństwie i wioskę swoją, do której przyrosło sercem i wspomnieniami. Matkę, jak ci mówiłem, zabrał Bóg—wioskę odebrali jej ludzie czy okoliczności.

Przyszło sierocie iść z rodzeństwem i babką staruszką w świat obcy i nieznany, i oto w dzień, w którym się wybierała na to tułactwo, wyszła rankiem pożegnać to, czego jej oczy smutne więcej oglądać nie miały.

I przeszła pod tymi wiązami stuletnimi, kędy ją matka do snu kołysała w niemowlęctwie, i oglądała każde po kolei drzewko ręką ojca sadzone, i ujrzała w spokojnej tafli wody twarzyczkę swoją spłakaną, a każde z drzew kwitnących sypało na jej główkę kwiaty, żegnając sierotę.

I gdy się ujrzała tak obsypaną białoróżowymi listkami grusz i jabłoni, strząsnęła z siebie te łezki, którymi płakała nad nią rozżalona przyroda, i wzięła to ze sobą na resztę smutnych dni swoich.

Nie długie być miały te dni sieroce.

Dziewczyna poszła w świat szukać pracy, i ulitował się tęsknocie i męce jej młodego życia Bóg dobry, i zabrał dziecinę napowrót na łono jej matki, anioła czystości i prawdy, a po niej samej zostało jako ślad jedyny te kilka ćwiartek

papieru zroszonego łzami tęsknoty, to kwiecie zeschłe, i tam hen daleko mogiłka z płytą kamienną.

Gdybyś ty wiedział, jak płaczą te martwe rzeczy w pewnych godzinach nocy, i wiele tam na nie spadło łez tej staruszki, dla której dziewczę-sierota wszystkiem była na świecie.

KAMIONNA

Obrazek z niedawnej przeszłości.

„Nie umiera się z ran takich!“ — gotów zawsze powiedzieć sentencyonalnie człowiek, gdy mu się zdarzy poza połową jego szarego, bezbarwnego żywota usłyszeć o tęsknotach które łamią, o bólach, które zabierają życia młode — o ciosach niszczących jak gromy.

„Nie umiera się z ran takich!“ skłonni są zawsze zawyrokować po przeczytaniu w książce historyi tragicznych losów ludzkich zakończonych śmiercią, i tacy, którzy wierzą głęboko a szczerze, i ci, dla których wiara narzędziem tylko.

Zaprzeczy i lekarz materyalista, który doniosłość cierpień stawia w bezwzględnej zależności od stopnia odporności organizmu, i epikurejczyk zimny przypuszczający, że instynkt samozachowawczy przemoże w końcu każde uczucie na korzyść

ocalenia jednostki, a nakoniec powtórzy to w najlepszej wierze, acz z innych zupełnie pobudek, i ten jeszcze, który pod wpływem entuzyastycznego porywu młodości, z głębi przekonania woła za poetą:

„...Trzeba się dziś zwyciężyć, aby jutra dożyć
I nigdy zmysłów w jednej nie utracić burzy..."

Do zapewnień takich wiary zupełnej przywiązywać nie można. Wszystko jest możebnem—wszystko bywało już—wszystko może mieć miejsce w chwili właśnie, w której nam najmniej prawdopodobnem się wydaje.

Człowiek z hymnem młodości i szczęścia w duszy—z pieśnią radosną na ustach idzie między podobnych sobie, a gdy go ból zmoże, i gdy mu umierać przychodzi, umiera zdala od świata — umiera zawsze w ciszy. Dlatego tak skłonni jesteśmy wierzyć w szczęście i uśmiechy, a tak daleka od nas myśl o bólu i śmierci. Tych ostatnich zjawisk najmniej spotykają oczy nasze, i tu jest źródło instynktowej niewiary powszechnej w niszczącą potęgę cierpień duszy.

A tymczasem każdy, kto w dłuższem

życiu nie przechodził obojętny mimo cierpień ludzkich, kto się od cudzych bolów małodusznie nie odwracał — każdy taki miałby w pamięci zarysowany z pewnością fakt jakiś, któryby mu pozwolił zrobić tu zastrzeżenia swoje, i powiedzieć po głębszym namyśle: A jednak, jednak i ja... „Znałem ludzi dwoje...“

I ja znałem... Ale nie — nie słowami poety zacząć mi to opowiadanie. To nie będzie zmyślenie, ani baśń żadna—to jest kartka z życia — epizod z przeszłości nie tak znowu odległej bardzo. Ileż to kartek blizkich treścią odszukaćby można w pamięci żyjących dotąd ludzi! Słuchajcie tedy!

Tam hen w głębi borów, oparta o ich strop podniebny, leżała wioska — jedna z niezmiernej liczby podobnych do niej, zacisznych, pełnych zadumy jakiejś tajemniczej—naprawdę jedna ze smutnych bardzo siedzib ludzkich, ale mimo tego smutku mających tę właściwość szczególną, że gdy ten, którego one zrodziły, umierał od nich zdala, obraz niepojętego ich czaru towarzyszył mu aż do ostatniego tchnienia. Taką moc miały te wioski ongi; czy

zachowały ją aż po dni nasze — ręczyć nie odważylibyśmy się. Tę wioskę nazywano Kamionną, a i dziś miejsce, które po niej zostało, to samo nosi nazwisko.

Mówimy: które zostało, bo pług zaorał już dawno miedze tych łanów, a rozsiane po nich grusze polne, razem z lipami alei i grabami otaczającymi ogrody, padły w pierwszych zaraz dniach pod siekierą tych, którym się ona spuścizna za wolą losu dostała. Właściciele Kamionnej zostawili jako spadkobiercę tylko dalekiego i daleko zamieszkałego krewnego, a ten gdy przybył na miejsce i odetchnął mistyczną atmosferą bezgranicznego jakiegoś smutku i tęschnoty, zbył co rychlej majętność pierwszemu lepszemu, który go od tego ciężaru uwolnił. I stało się to, co się z większą częścią siedlisk pracy ludzkiej stawało na oczach naszych w podobnych warunkach. Lasy wytępił obcy spekulant, a resztę rozrzucono między drobnych nabywców, którzy, należy im to przyznać, z nadzwyczajną gorliwością zajęli się zatarciem śladów wszelkich związanych z bytem tych, co tu niegdyś całością władali.

Nie zgasło tedy doszczętnie życie na tym zakątku ziemi, tylko przybrało odmienne formy. W miejsce jednego przyszło wielu. Oto jak się rzecz przedstawia na pierwszy rzut oka.

Ale czy w miejsce jednego ogniska myśli i uczuć ludzkich roznieciło się tyle drobniejszych ognisk, wiele się tam dymów w obłoki z tych sadyb ludzkich obecnie podnosi — to już kwestya odmienna zupełnie.

Co jest faktem niezbitym w procesie samym metamorfozy podobnej to lęk jakiś szczególny, jaki ona budzić musi w każdym umyśle niezaciemnionym namiętnością ani uprzedzeniem. Obcy przechodzi mimo przeobrażeń takich ruszając ramionami, doktryner zaciera ręce, ten zaś, który nie jest ani obcym, ani doktrynerem, doświadczy trwogi, a po niej uczucia smutku—bezgranicznego smutku.

Ze starej tedy Kamionnej, kamień, jak to mówią, na kamieniu nie został.

Niegdyś, a są i dziś jeszcze przy życiu ludzie, którzyby to potwierdzić mogli — niegdyś widywano tu między dworem modrzewiowym nakrytym dachem

o dwóch kondygnacyach, a kaplicą drewnianą stojącą opodal drogi, dwoje dzieci jasnowłosych bawiących się na dziedzińcu. Maleństwa te brali zwykle obcy za brata i siostrę, ale rodzeństwem oni w istocie sobie nie byli. Bo to w takich starych dworkach, o jakim wspomnieliśmy, sporo było różnego rodzaju ogniw, które na równi z prawami krwi, łączyły ludzi obcych pochodzeniem w jedną rodzinę. I tu się też znalazł łącznik podobny. Chłopczyna był sierotą pozostawionym na opiekę właścicielowi Kamionnej przez jego dawnego druha i towarzysza. Przeżyli ci dwaj ludzie niegdyś młodość i część nawet wieku dojrzałego razem, a skończywszy służbę publiczną, wrócił każdy z nich na zagon własny, aby szukać doli w szczęściu rodzinnem, skoro innej zaznać im nie było sądzono. Odmienne jednak losy przeznaczyła Opatrzność każdemu z dwóch rozbitków. Właścicielowi Kamionnej uśmiechnęło się szczęście i przez długie względnie lata pozostało mu wiernem, ojciec zaś tego małego sieroty pochował w rok niespełna po zawarciu związku żonę, a i sam jakoś niedługo już bardzo pasował się ze smut-

kiem swoim. Odchodząc zostawił mienie i dziecko jedyne człowiekowi, któremu ufał bezgranicznie, i oto mamy przyczyny pobytu tego chłopca w Kamionnej, który pomimo, że dzieckiem nie był rodzonem, ze wszystkich jednak praw jego korzystał.

Rośli tedy oboje, chowali się pod okiem matki tego dziewczęcia, w atmosferze niezamąconego szczęścia i spokoju— takiej atmosferze, która nieświadomego zmienności losów ludzkich uzuchwala do bezgranicznej ufności w dzień jutrzejszy, ale która znających życie dreszczem obawy przejmuje zawsze. Ukradzione losowi są niewątpliwie chwile podobne.

Stopniowego rozwoju tych młodych dusz śledzić nie będziemy; kto zna nastrój społeczności, do której należeli, komu nie obce są jej smutki i radości, jej dnie pracy i godziny wytchnień, jej nadzieje i ułudy, ten sobie podobiznę wierną tych niezrównanego uroku lat dziecięcych i lat pierwszej młodości, z łatwością odtworzyć potrafi. Niejeden taki, któremu wspomnienie chwil podobnych wystarczyć musiało na dziedzictwo całe, a któ-

ry potem nosił się z tymi obrazami przez wszystkie tęsknice i tułactwa życia, rozumiał najlepiej, że się to wszystko razem wzięte raczej odczuć sercem, niż słowem wyrazić pozwala. Były tam później w ich życiu małe gorycze czasowej rozłąki, były miesiące tęsknot i rozkoszne dni zwykłych powrotów chłopca pod strzechę, która dla niego była ojcowską — było wszystko jednem słowem, co dać może życie z kielicha rozkoszy tym, których kołysze złowrogo, zanim ich do porachunku za wypite nektary pociągnie.

Rodzice patrzyli na to z uśmiechem niewysłowionego rozrzewnienia, patrząc odżywali sami w ich istnieniu, a jakkolwiek niewymówiono tam nigdy między niemi słowa o przyszłym do siebie stosunku tych dwojga istot, to przecież nie przypuszczał ojciec ani matka dziewczęcia, aby coś w życiu rozdzielić ich mogło. Tak to jakoś domyślne i nieuniknione im się wydawało.

On rósł i dojrzewał, z uczuciowego dziecka zmieniał się stopniowo w marzącego chłopca, później w entuzyastycznego młodzieńca, a ona?.. Ona była kobietą,

a on był jej przeznaczeniem, i w tem mieściło się wszystko. Poiła się jego słowem, wchłaniała w siebie światła jego porywów i natchnień, dojrzewała jego dojrzałością, żyła w jego nadziejach i złudzeniach cała.

Póki dziećmi byli oboje, te pierwsze drgnięcia ich dusz ku ideałowi były rozkoszą i dumą serc rodzicielskich. Na chłopca patrzano wtedy jak na takiego, co w zastygającą powoli atmosferę domu, wnosi ożywczą siłę przyszłości — na jego dzielenie się z ich dzieckiem myślą, jak na rodzaj komunii duchowej, która z istoty kobiecej wierzącej robi uświadomioną— która nadaje kształty temu co nieujęte, marzenia wciela w życie, a z wielkich pragnień wytwarza szczytne pojęcie obowiązku.

Patrzyli na tę robotę rodzice, jak na dzieło pożądane, któremu ich siły własne sprostaćby już nie mogły. Widzieli w tem dług spłacany przez pokolenie — cegiełkę jego samodzielności dołożoną do gmachu.

Wyznać jednak należy, że to ich szczęście

i ten spokój z biegiem lat i zmianą okoliczności ustępowały zwolna innym zgoła uczuciom. Chłopiec dojrzewał. Jego pragnienia miały teraz niekiedy siłę burzy, a jego wielka miłość zaczynała zdradzać nieuniknione gniewy i oburzenia. Duch mękzi przestawał snuć sielankę dotychczasową—słowa nie wystarczały mu już podówczas.

Rozpoczynała się nowa faza, zupełnie prawie od tamtej odmienna. Co tam wzruszało i cieszyło starszych—tu budziło obawy i trwogi rodzicielskie.

A potem, gdy przeżywali młodzi pierwociny idei, dopóki byli w samych pragnieniach sprowadzenia jej na ziemię, i korzyli się w ekstazie na myśl o wielkiej chwili, gdy ona wyjrzy z za obłoków i zstąpi w serca ludzkie, nie widzieli rodzice jeszcze nic, prócz wzlotu dusz czystych ku wyżynom. Nieraz zasłuchany w te ich wizje błyskawicowe, któremi oni dopełniali sobie rzecz czytaną, nieraz brał potem ojciec dziewczyny na stronę tego wychowanka swego, którego mu gdzieś świat nieznany dokończał i urabiał w duchu swoim, i mówił mu:

— Wydajesz mi się nową formą ja-

kąś. Aniś ty pogrobowcem ojcowskiej myśli, aniś ty echem tego co było—chwilami przedstawia mi się, żeś ty czem innem zupełnie, niż tamten, niż ja—niż my wszyscy byliśmy.

— Dalszym ciągiem jest z nas każdy—odpowiadał młody.

— Czy ty jeden taki — czy was więcej?—pytał innym razem.

— Ostatnim ja między nimi—ostatni.

Stary wzdychał, bo niewiedział, azali mu się radować, albo smucić należało, ale zwykle na końcu każdej z rozmów podobnych, stawało mu nagle przed myślą dziecko własne, i jego losy, więc pytał wtedy nieśmiało, bo i to wiedzieć należy, że te stare niezłożone natury ówczesne dziwnie onieśmielonemi się czuły wobec tej siły i tego rozpędu, który bił na nich od młodszych. Pytał więc:

— A czy dobrze to aby, że ty ją prowadzisz za sobą? Powiedz...

Młody człowiek mienił się wtedy na twarzy, bo dziwnie nieświadom był naprawdę natury uczuć swoich do tej pokrewnej mu duszy dziewiczej, i nie wiedząc jaką dać odpowiedź, szeptał po na-

myśle dłuższym, jakgdyby samemu sobie spowiadając się z tego, czego wobec niej doświadczał.

— Alboż ja wiem napewno czy to ja ją prowadzę. Niekiedy wydaje mi się istotnie, że nie kto inny, tylko ja idę naprzód—innym razem ona stąpa przedemną, jak ta „Pani słoneczna,“ o której czytałem jej przed chwilą. To wiem tylko, że ona i prawda—ona i dusza — ona i światłość, to jedno.

Stary milczał, ważył rozmyślał, niekiedy oczy ocierał zroszone, ale zawsze, konieczności jakiejś niby ulegając, pozostawiał mu swoje słowo przyzwolenia:

— Mów! Taka widać wola Boża była.

— I co im powiedzieć—myślał w chwilach takich—co im powiedzieć, kiedy wyraźnie to co w nich jest, nie od nich pochodzi. To się gdzieś wyżej chyba rozstrzyga, bo jako żywo takich jak oni nie było pośród nas, a przecież martwi ani śpiący nie byliśmy wcale..

Tak sobie tłómaczył to na co patrzył, ale mimo tego smutkowi opędzić się nie mógł, bo prawdziwie nie otucha a smu-

tek wiał od tego wszystkiego. O wiele dalej w przewidywaniach ujemnej natury szła matka dziewczęcia, ale że i między nią a dziecięciem jej przerażająco prawdziwie zwiększał się teraz przedział pojęć i uczuć, więc tylko mężowi spowiadała się z serdecznych trosk i obaw swoich, a i to z nieśmiałością wielką. Wiedziała przecież, że z niego w istocie poczęło się to, co młodych teraz ze sobą tak nierozerwalnie łączyło, i ubolewała nad nim samym serdecznie, bo i on stał teraz bezradny i trwożny, jako ten, który płomień rozniecił, ale który go opanować ani ograniczyć nie jest mocen. Więc mówiła do niego w chwilach, kiedy jej bólu wielkiego i przeczuć złowrogich nadmiar nagromadził się w piersi:

— Czujesz ty, że dni szczęścia naszego skończone?

— Nie wiem. Czasami zdaje mi się, że tak jest — niekiedy znowu mówię sobie, że nizkiemu uczuciu egoizmu daję zapanować nad sobą. Co jest — z Boga jest. To nie może nie być od Niego, bo to czyste jako krynica to wszystko.

— Wszystko z woli Boga, i śmierć

od Niego, a dlatego śmierć była i jest straszną.

— Kogóż obwiniasz o to, co się stało?

— Nikogo, ale ja matka, a oni...

— Tak mówisz: to oni, jak gdyby ich Bóg już połączył ze sobą.

— Patrzysz, a nie widzisz chyba. Przecież ona nie ma oczu dla świata i ludzi, ona utonęła w jednem uczuciu i jednem pragnieniu wyłącznem. Niema dla niej nic—ani nas—ani szczęścia—ani dobra żadnego poza nim i po za tem, co on mówi.

— Ale dla czego nam koniecznie przewidywać to, co najgorsze? Dlaczego w takim razie nie mamy widzieć przed niemi dni takich jasnych, jak były te, które my przeżyliśmy ze sobą. Ja, przyznaję się do tego, że ilekroć na nich patrzę, tyle razy widzę się tu, w tej starej Kamionnej naszej — u nich — widzę się starcem kołyszącym wnuki.

— Człowieku nieszczęśliwy! iskry przeczuć niema w duszy twojej, pomimo że ci Bóg ojcem być pozwolił. On i przyszłość — on i wiek dojrzały — on i ojcowstwo! Co ty mówisz, o czem ty roisz? On zgorzeje w płomieniu; mówię ci, że

zgorzeje — on się spali jak to kadzidło ofiarne, jak sam powiada do niej nieraz. Przypatrz się oczom tego człowieka. Śmierć w tych oczach mówię tobie — nie życie! A czy ty słyszałeś jak on to wymawia:

Jeśli cię kiedy z kołem mych dzieci obsiędę
To mi naplujesz w oczy.

Tak nie brzmi głos tego, któremu żyć sądzono. Ja bo go widzę w trumnie tylko—gorzej—widzę go umarłym, a nie w trumnie nawet...

— Odpędź czarne myśli, kobieto. Grzech uprzedzać, jak ty uprzedzasz wyroki Boże. Będzie co Bóg da.

— Już dał... To już napisane. Ja to wiem—od tego są matki, żeby wiedziały te rzeczy naprzód.

— Matki... no, jużciż faktycznie byłaś mu matką i przyznać ci mogę, matką dobrą, ależ znowu...

— Dobrze się rozumiemy dzisiaj! Wszystkie złe myśli moje chcesz widać wydobyć z głębi duszy, gdzie je ukryłam niby występek jaki. Ja jemu matką— ja o nim mówię — mnie o niego chodzi? Ty mnie nie pytaj co w mojem sercu jest

dla niego. Ty się nie probój dowiedzieć, co matka ma dla tego, który jej zabrał dziecko jedyne. To są straszne słowa, i ja ich powiedzieć nie chcę.

. . . .

Gorzkie były chwile, które wtedy przeżywała Kamionna. Stokroć gorsze przyjść miały niebawem.

— Nie dziwmy się rozdźwiękowi uczuć między tem dwojgiem starzejących się ludzi, i ich stosunkiem odmiennym do tego ich wychowańca. On widział w nim dziecko przyjaciela, widział człowieka idei, bo i sam nie innym był przecie, nadto podziwiał organizacyę potężną i szlachetną, ale matka dziewczęcia, ona przecież nie mogła mieć tych względów. Matki mogą mieć wszystkie uczucia, które mają ojcowie, byle one nie wchodziły w kolizyę z ich miłością najwyższą — one są matkami przedewszystkiem i ponad wszystko.

. . . .

A teraz damy wam czytelnicy o ostatnich chwilach na ziemi tego smutnego

dziewczęcia krótką wiadomość słowami tego, który bóle podobne pochwytał w pierś swoją natchnioną, aby je potem jedną wielką skargą wypłakać światu, na otuchę dla żywych i ku pamięci tych, co w męce opuszczali życie.

Dużo widać skarg podobnych unosiło się nad głową pieśniarza, bo i to wam powiedzieć musimy, że nigdy, nigdy oczy jego nie oglądały tej Kamionnej, ukrytej hen w głębiach borów drzemiących.

Oto nastrój tej duszy w odlocie, oto słowa, któremi żegnała matkę.

„Nie wiem dlaczego, lecz w ostatniej chwili
Inaczej patrzę na życia kolcje
Serce już losom oprzeć się nie sili
Przebyta boleść cichnie i maleje.
I wszystko znika nakształt snu przykrego,
Który brzask dzienny na zawsze rozwieje
Choć w oczach jeszcze pełno łez od niego.

. . . .

Dawniej zbyt często duch bólem miotany
Stawał oporem przeciw woli Bożej,
Smutnych przeznaczeń żądające odmiany
I zwrotu szczęścia utraconej zorzy.

. . . .

Dziś, gdyby anioł co stoi przedemną
Dał mi moc losem rozrządzać do woli
I po me szczeście wrócić w przeszłość ciemną,

Jużbym nie chciała. Dusza, gdy przeboli
Raz wszystkie ziemskie cierpienia serdeczne,
Nie chce się nagiąć do znikomej doli
I tylko za tem wzdycha co już wieczne.

. . . .

Z spokojem patrzę na tę postać drogą,
Co prowadziła mnie w słoneczne światy

. . . .

Z równym spokojem spoglądam na cienie,
Które zaćmiły mój obrazek złoty
Widzę noc czarną... trwogę... rozłączenie,
Próżne nadzieje, żale i tęsknoty,
Nawet śmierć jego wspominam z spokojem
A z piersi żadne nie rwie się westchnienie
I łzy już żadnej niema w sercu mojem.

. . . .

Za mękę wielką młodego życia, za trwogi i noce bezsenne, za pogrzebanie wszystkich wielkich miłości, dał Bóg miłosierny jej istnieniu krótkiemu na ziemi koniec pogodny — niby zachód cichy po dniu pełnym burz i gromów.

O losach staruszków dwojga nie mamy nic do powiedzenia, boć losy takich osierociałych domyślne są dla każdego; dla Kamionnej natomiast może się słówko znajdzie jeszcze w tem opowiadaniu naszem.

— Zatrzymajże się człowieku! Pocztylion! czy ogłuchłeś?—wołałem na powożącego parą dobrych, bo z gubernialnej stacyi pochodzących, koni. Zatrzymajże się!—powtórzyć musiałem razy kilka, widząc, że albo głuchym jest ten człowiek w istocie, albo udaje głuchego.

Jakaś wiejska kobieta, odziana ciężkim tołubem goniła już przez kilkoro stai za bryczką, wołając proszącym głosem, aby ją zabrać, a była to pora taka, że pozostawienie jej na szosie można było nazwać okrucieństwem chyba. Marcowy deszcz ze śniegiem ciął jak gdyby szkłem potłuczonem po twarzy—ciemno, godzina druga zaledwie po północy — nieszczęście tylko jakieś może zmusić człowieka do pieszej podróży w tę porę, i w pogodę podobną. Ale właśnie ta zapewne śnieżna zawieja tak gderliwie usposobiła starego pocztyliona, że choć uległ w końcu rozkazującemu brzmieniu memu głosu, nie przestawał mruczeć sobie pod nosem.

— Bóg ją tam wie, zkąd ona, i gdzie się wlecze—może nawet nie w jedną stronę z nami, a zresztą choćby i tak, to co mi za niewola!

— Maruda z was ojciec i tyle! Obowiązek chrześcijański, a wreszcie kobiecina da wam na piwo.

— Oho! znam ja ich „na piwo.“ Płatniki one best...

— No, jak nie ona, to ja.

— Chyba że tak. No, matka gramolić się!—mówił udobruchany w połowie, podając rękę kobiecie wspinającej się na oś przednią. Ale czy to, że chciał usłudze swojej większą nadać wartość, czy też mrukliwy był z nawyknienia profesyjnego, więc spędzał resztę cierpkiego humoru swojego przekomarzając się z kobietą, która sadowiła się teraz obok niego na koźle pocztowego, niezbyt obszernego wózka.

— Ho, ho! ale to z was machina... machina, matulu! Bez jakich może paru funtów ze trzy centnarki sobie ważycie. Musi wam niczego być na świecie, kiedyście się tak rozmachali pod wasze lata.

— A jużci... niczego! Niechby wam aby tak dobrze nie było, jak mnie, to wam powiem za to dobre, coście mi teraz oto zrobili. Żeby nie wy i nie ten pan miłosierny, daj mu Boże wszystko

najlepsze, za to, co was za mną uprosił, to przyszłoby mi uświergnąć na drodze. Psu, nie człowiekowi chrześcijańskiemu wlec się w noc taką i... za takiemi sprawami—dokończyła półgłosem.

Czy dosłyszał te ostatnie wyrazy pocztylion, czy może wzmagająca się w tej chwili dętka gwałtowna poniosła je het gdzieś w świat, nie dopuszczając do jego uszu — nie wiem, to pewna, że na mnie zrobiły one pewne wrażenie, i gdyby pora choć trochę była odpowiedniejszą, byłbym się wdał chętnie w pogawędkę, bo mnie wielkie niedole tej warstwy społecznej, zarówno jak jej codzienne troski życiowe a nawet drobne kłopoty zawsze zblizka obchodziły. Nie czas jednak był na rozmowę. Śnieg tumanami całymi sypał w twarz, tak, żeśmy wszyscy bokiem od wiatru obrócić się musieli, a konie pomimo, że do prostego kierunku szosy nawykłe, zwracały się tak, iż co chwila koła wkraczały na pryzmy szabru po obu jej stronach usypane.

Tak to jakoś trwało przez godzinę jeszcze może, ale kiedym zapalając cygaro przy świetle zapałki, czwartą po pół-

nocy na zegarku dopatrzył, cichnąć zaczynała tak zwana przez górali fujawica, a gwiazdy tu i ówdzie przebłyskiwały tam, gdzie wiatr rozpędzając gwałtowniej chmury, szmat czystego nieba odsłaniał. W powietrzu czuć było ranny marcowy przymrozek, robiło się rzeźwiej i znośniej, to też otrzepując teraz śnieg z futrzanego kołnierza i sadowiąc się wygodniej i prościej, uczułem chęć pogwarzenia z tymi ludźmi tuż obok siedzącymi. Wyręczyli mnie oni w tem jednakże sami, i mogłem nie siląc się na zapytania przysłuchiwać się teraz małej indagacyi, jaką stary bywalec pocztylion rozpoczynał ze swoją pasażerką narzuconą.

— Matka! daleko do was?

— Albo ja wiem, gdzie my teraz.

— Dwie wiorsty bez czegoś mamy do Utraty.

— Ho, ho! to ja będę miała ze dwie mile z ogonem. A niech to będzie bez urazy, czy wy od Utraty dalej szosą?

— Bogać tam szosą! Toby pół biedy było, ale my zaraz od Utraty w prawo zwracamy, a tam, no! oddaj się Bogu—wleź w konopie! Nie jechałem ci ja

po tych wertepach ze dwa lata chyba, to i nie wiem nawet jak to tam jest teraz, ale tak myślę, że psia nie ludzka droga musi być w taki roztop.

— To wy chyba ku R....icy?

— A dyż nie gdzieindziej tylko ku niej—żeby się zapadła.

— O mój Boże!

— I coście się tak uradowali? To niby takie szczęście, czy co?

— Szczęście—jużci niejednemu szczęście—choćby i mnie na ten przykład. Żeby tak, na to mówiący, pan pocztylion gniewny nie był, a chciał mnie jeszcze podwieźć, to jabym tam już pięknie podziękowała na miejscu.

— A zkądże wy?

Powiedziała mu widać nazwisko wioski czy miasteczka, alem nie dosłyszał, bo też mi ostatecznie tak wiele na tem nie zależało. Co prawda, w przewidywaniu drogi bardzo ciężkiej, wolałbym był nawet, żeby się moja protegowana wcześniej z nami pożegnała, ale raz zdecydowawszy się być wspaniałomyślnym, nie wypadało mi zdradzać podobnych życzeń, tembardziej, gdy teraz obietnica zrobiona

wyraźniej przez kobietę, pocztyliona na jej stronę stanowczo przejednywała. Oni tymczasem mówili półgłosem ze sobą, najwyraźniej targowali się o tę formę podziękowania, bo on kręcił głową, ona argumentowała, a w końcu widziałem, że przyjść musiało do porozumienia, bo usłyszałem z jego strony stanowcze:

— Tylko żeby nie było kręcenia żadnego, bo ja wypraktykowany jestem na to, i wolę powiedzieć odrazu, a nawet wiecie co, żeby się tam nie prawować przy ludziach i na uciechę obcym, to rozwiąż najlepiej gospodyni węzełek, i tu, ot tak po Bożemu, z ręki do ręki i będzie koniec.

Kobieta, jak to kobieta wiejska zwykle, bardzo pochopną do onego rozwiązania się nie okazywała, ale jak się przekonała, że on temu wahaniu przy samem skręcaniu w boczną drogę zdecydowany jest położyć koniec, rada nie rada dobyła woreczka i coś tam jeszcze posprzeczawszy się trochę, rzecz między sobą załatwiono. Teraz on, jako człowiek przezorny, który na swojem postawił, robił się uprzejmym i skłonnym do wymiany

myśli, a ona przeciwnie, jako strona wyzyskana, którą odgadnięto i zmuszono do przyjęcia warunków, chmurna była i nierada bliższej znajomości.

Taką sobie, ja przynajmniej, na prędce zrobiłem obserwacyę. Nie minęło jednakże pół godziny, a nabrałem przekonania, że do podobnego zamknięcia się w milczeniu mieć musiała towarzyszka naszej podróży chyba głębsze własne pobudki. W jakiś czas zagabnął ją nasz powożący:

— Jakoś was, matko, musieli późno odstawić od piersi, bo mowę to macie przytrudną—he?

— Jak niema potrzeby, to i po co gębę studzić po próżnicy. Z tego nigdy nic dobrego nie urośnie. Żeby oni byli tak jak ja, toby całej biedy teraz nie było, i jabym się nieszczęśliwa sierota nie poniewierała teraz po świecie, i nie świeciła oczami między ludźmi jak ostatnia jaka.

Tu nastąpiło głośne zaniesienie się od płaczu, w którem, nie wiem czego

było więcej, — rozżalenia istotnego, czy złości kobiecej.

— Oho! to źle—mruknął tonem szczerym, czy nieszczerym stary wyga, ale w każdym razie było w tym tonie coś, co bardzo przypominało współczucie.— Oho! to wam cościk dowodnie przypiekli ludzie. No, no! moi drodzy, wiem ci ja wiem, że to tak bywa na świecie. Wy ludziom chlebem, a oni wam za to kamieniem — wy drugiemu jak sobie samemu, a on wam psia para na zdradzie stoi.

— Bogać tam inaczej! Niech ich tam zła krew zaleje, żeby oni jasności niebieskiej nie oglądali, jak oni ich zakopali psie dusze. Stary jak stary; on sobie choćby w piekle da radę — jego rozumu nie uczyć, ale chłopczyna chudaczek na 18 rok ci mu się dopiero na św. Agnieszkę obróciło, a jużci go w taką koszulę ubrali, której nie zewlecze do końca życia. Żeby ich połamało — żeby z nich każdy krzyżem powlókł, zanim to słońce na niebie zejdzie dzisiaj, na moje nieszczęście.

Co prawda, że nie rozumiałem ani

jednego słowa z tego, o co tej zapłakanej a złorzeczącej kobiecie chodziło, mój pocztylion jednakże pojętniejszym być musiał odemnie, bo głosem zdradzającym tym razem wysoki stopień zainteresowania i wtajemniczenia zarazem w ducha jej kłopotów, zaczął teraz pytać:

— W okręgowym sprawa?

— Jużci.

— To źle!

— Bogać tam dobrze.

— I na wiele?

— Stary na cztery lata, chłopiec na dwa bez kwartału.

— Apelowali?

— Jakżeby! I ponownie zaniosła się płaczem.

Zacząłem domyślać się i ja teraz o co chodzi i jakiego rodzaju były te kłopoty, ale nie wdając już się między nich, czekałem co tam jeszcze dalej będzie.

— A wiecie wy matka, że ja pewnikiem coś niecoś wiem o waszej biedzie. To ani chybi tylko to musi być z tego jenteresu Rudego Szmula? Ha jakże? — indagował pocztylion.

— Żeby on pogański syn jutra nie doczekał, żeby jego ziemia wyrzuciła— żeby jemu...

— No, a jemu co?

— Jemu? A co takiemu zrobią! Z wolności odpowiadał. Nie bójcie się! taki dobrze umie zamiatać za sobą. Jego nie dośladuje nikt.

— Widzicie no moi ludzie — biadał teraz melancholijnie pocztylion. — Jak to one pogany potrafią chrześcijańskiego człowieka zgubić. Nie mówiłem ja to zawsze, że z żydem niewiarą...

Słońce wschodziło nad długim rzędem nowych osad, ciągnących się ponad drogą szeroką; z koni podnosił się ciepły opar, a żeśmy właśnie koło jakiejś oberży przejeżdzali, oznajmił mi mój pocztylion, że koniom chociaż pół godzinki wytchnąć musi. Może istotnie konie potrzebowały tego wypoczynku, ale i jego otrzymane miedziaki niepokoić musiały w kieszeni, i zapewne chciał je zamienić na jakieś płynne substancye, do których skłonność niepoślednią zdradzał nos jego rubinowy, o czem przy brzasku dnia przekonać się mogłem.

Ostygły zupełnie z sympatyi dla mojej towarzyszki i złorzeczący nieledwie niedołęztwu własnemu, które mi tyle już razy w życiu złe usługi oddawało, zeskoczyłem prędzej z wózka, aby się od pożegnań i podziękowań dosyć nieprzyjemnych, uwolnić. Wszedłem do izby szynkowej, obszernej, widnej, i czysto utrzymanej, w której zastałem dwoje tylko ludzi niemłodych—najwyraźniej gospodarzy tego przybytku. Ona stała poza kratkami, zkąd podawała ludziom przybywającym, to co posiadał zakład, on człowiek lat 60-ciu z górą, o fizyognomii starego żołnierza, patrzał przez okno na konie pocztowe i na tych dwoje, którzy się teraz w najlepszej komitywie rozstawali ze sobą.

Naraz odezwał się szynkarz do żony:

— Oho! patrzaj! nakryli ich.

— Kogo?

— A kogóżby? Patrzaj że!

— Może być?

— A jakże.

— A zkąd wiesz?

— Spojrzyj no! Dyć to ona sama

wraca. Jak tylko sama — nie z nimi, to ich przycapili.

— Bogu niech będzie chwała—odpowiedziała kobieta.

Zwrócił baczność moją akcent, z jakim się szynkarka wyrażała o tych zbyt dowolnych tłómaczach prawa własności, ale wyznaję, że ufności to mojej nie obudziło; owszem—może jeszcze baczniejszym się się stałem przez to. Wszak karczmarze to zwykle organizatorzy i naturalni sprzymierzeńcy wszystkich poróżnionych ze sprawiedliwością. Jakieś antagonizmy chyba, może nieporozumienie z podziału zdobyczy wynikłe!

Wyznać mi przyszło niebawem, że się myliłem; tym razem czekała mnie niespodzianka. Gdybyż to ta jedna tylko!

Rozmyślania moje przerwał pocztylion, który przyszedł mi oznajmić, że przed dwoma godzinami z miejsca tego przymusowego wypoczynku ruszyć nie będziemy mogli—że mu się koło naruszyło w tych wybojach, i że obręcz będzie trzeba przecinać, co najmniej parę godzin czasu zabierze. Trzeba tedy było wziąść na cierpliwość, rozgościć się i szukać

dystrakcyi, jaką nastręczyć mogły okoliczności.

Jeśli nie dystrakcyi w właściwem rozumieniu, to przynajmniej materyału do obserwacyi braknąć mi tutaj nic miało.

Przybycie tej kobiety, którą przywiozłem, poruszyło jak widać wieś całą, bo tuż za pocztylionem wślizgnęła się do izby karczemnej jakaś grupa ludzi, za nią druga, trzecia i tak dalej, a wszystko to miało miny wielce podejrzane, wszystko patrzało z podełba, szeptało po kątach, zdradzając przytem wielce charakterystyczny niepokój i podejrzliwość, ludziom mającym coś do ukrywania, właściwe. Takie przynajmniej na mnie robił doraźne wrażenie ten wielce niesympatyczny tłum wiejski.

Skorzystałem ze sposobności, aby od gospodarza zasięgnąć jakichś objaśnień, zwłaszcza, że się on w rozmowie z żoną tak ostentacyjnie wypierał solidarności z ludnością miejscową, i dlatego, gdy mi siedzącemu w ustronnym kącie wielkiej izby podawał szklankę herbaty, zagadnąłem go wprost:

— To jakiś ładny kącik tutaj, jak się zdaje, u pana.

— Niczego, panie—niczego! Jest rzeka, jest przewóz, za rzeką lasy duże—miejsce jak wybrał na taki przemysł—dodał przyciszonym głosem.—Ale nie mówi się o tem głośno, bo pan dobrodziej pojedzie sobie gdzie jego wola, ale gdyby usłyszano, że ja to opowiadam, toby się tu pierwszej lepszej nocy dach zaświecił nademną.

— O..! aż tak?

— I tak, i gorzej jeszcze mogłoby się zdarzyć w potrzebie.

Zaciekawił mię ten człowiek nadzwyczajnie. Znałem takie siedliska ludności uprawiającej zakazane procedery, aleć tutaj to była osada nowo powstała, a w takich koloniach zazwyczaj osiedla się żywioł zamożny, a przynajmniej dorabiający się mienia. Toć to są przecie ci, co groszem i pracą przyszli do własności.

Widząc, że gospodarz bierze czapkę i na odchodnem rzuca żonie jakieś porozumiewające spojrzenie, na które ona skinieniem głowy odpowiedziała, wstałem i ja z miejsca, i po chwili zrównałem się

z nim na szerokiej drodze ciągnącej się wzdłuż tej linii osad świeżo wzniesionych. Nowe to było co prawda, a nie zdradzało ani zamożności, ani starania. Owszem pustką i zaniedbaniem trąciło wszystko—ani drzewa przed chałupą, ani płota, ani ogródka z tyłu. Tymczasowość wiała, z każdego kąta, i każdego szczegółu.

— Co tu u was—osada pobytowych, czy kolonia karna?

— Ani jedno. ani drugie, panie. To inspekta dopiero.

— Bój się pan Boga—zkądże się oni tak zbiegli w jedno miejsce. Toż to prawie nie bywa tego nigdy.

— Bo też i tu nie było odrazu; to się tak widzi pan, powoli zrobiło samo. Dużoby gadać o tem, ale jeśli to pana nie znudzi...

Zapewniłem ze słucham z wielkiem zajęciem.

— Proszę pana, co jednemu na pożytek—drugiemu na szkodę. Tutaj złe zaczęło się właściwie od tego, że im się trafiło kupno niespodziewanie pomyślne. Łapał kto chciał, byle prędko, bo temu

co sprzedawał pilno było. Ale, bo też to panie, nie po Bożemu się obszedł ze spadkiem ten jakiś krewniak pana, o którym myśmy tu nigdy nie zasłyszeli nawet. Tu panowie pracowali dla dzieci własnych z dziada pradziada i starali się o to, żeby im nietylko grosz ale i miłość ludzką zostawić, no i było to znać we wszystkiem, a tak przyjechać, trzy dni zabawić, jak on—do starych sług, którzy jeszcze nie zapomnieli jak to tutaj bywało dawniej, tak się odezwać jak on się odezwał, to z przeproszeniem pańskiem, wstydu na to mieć nie trzeba. Patrzyliśmy na niego jak na obcego i jak na człowieka bez rozumu w głowie. To się tak przecie nie robi — choćby dla oka ludzkiego, jeśli już nie z wdzięczności za tyle majątku, co on ztąd wyciągnął. Zawołał żydów... no i panie w trzy dni było skończone, i tyle go już oczy nasze widziały. Żydy też, jak to one umieją, po swojemu się do tego zabrali. Lasy rozdrapali zrobiwszy na to jakąś współkę swoją, a ziemię, łąki, budowle, dobytek, to tak panie po szulersku poszło, jak u człowieka co go to nic nie kosztuje! Obrali

sobie takiego jednego, no i on spędzil tę hołotę całą nie przebierając i nie oglądając się na nic. Kto miał pieniędzy trochę na zadatek, ten kupował i zapisywali go odrazu, a dzielić się mieli później dopiero. bo to cała mądrość, to właśnie w tym podziale była.

Kusiła i mnie kobieta moja, żeby się tu przyłączyć i pozostać na miejscu, ale przyznam się panu, żem nie śmiał jakoś rozdzierać tego do współki z nimi wszystkimi. Człek tu przecie urodzony, z panem nieboszczykiem poniewierałem się tyle lat, później, jakiem się ożenił, osadził mnie nieboszczyk na onej leśniczówce, z której także ani dymu ani popiołu dzisiaj. i na niej dwadzieścia lat z górą przesiedziałem. Myślał sobie nieraz człowiek, że tu głowę położy, a tymczasem chował dzieci, i w tej głupiej głowie sobie układał, że najstarszego chłopca to tak odda młodemu panu, jako sam był przy naszym panu, daj mu wieczne odpoczywanie. Ale i tu woli Bożej nie było. Chłopczysko się zatraciło, a potem to juźciż człek odejść się wagował, bo i państwa starych żal było okrutnie póki

żyli, i od tego cmentarza coraz ciężej się było odsunąć. A na tym cmentarzu przybywało mogiłek, ciągle przybywało i tak... Et, co tam gadać!

Żebym się to był jeszcze nie zaplątał inaczej, tobym się już był chyba urwał ztąd, bo to i nie godzi się patrzeć na to co się tu dzieje, ale cóż—dyabeł skusił, żydy otumaniły. a nie trzeba mówić, że gdzie one psia dusze się przyczepią, tam już koniec wszystkiemu.

— Jakże to .było?

— Ech, to panie wstyd powiedzieć. Jużciż i kamień obrośnie jak go długo z jednego miejsca nie ruszyć. Oszczędziło się trochę grosza przez tę służbę; nie zapomnieli państwo przed śmiercią o innych, to nie zapomnieli i o mnie. więc zwiedzieli się prędko i żydy i nie żydy, że to niby koło człowieka biedy niema. Jak wzięli kusić a namawiać, a przypochlebiać się, tak kiedy te raty przyszło im płacić, dało się jednemu i drugiemu, i trzeciemu, no i już powróz koło szyi był zawiązany. Myślałem, że rok nie upłynie a ja swoje odbiorę, ale!.. Ciesz się głupi—tyle twego! No i wsadzili mię

na tę karczmę, bodaj się zapadła pod ziemię, bo gdzie to człowiekowi do szynku, który tego nigdy praktykowany nie był, i który co prawda sam szynkarza nie miał za wiele co lepszego jak za psa, a tu na starość zeszło się na takiego, i żeby to choć gdzie, ale tutaj—w tem samem miejscu. Darmo teraz i biadać. Już się ja chyba nie wyplączę z biedy do śmierci.

— Nie oddadzą? bieda u nich?

— Z czego mają oddać? panie. Daj Boże, żeby niejednego z nich żyd z kretetem nie zjadł. To wszystko, panie, czeladź żydowska—ich parobki, i to do jakich robót jeszcze. Bo to, nawet trudnoby we wszystko uwierzyć było, żeby tak człowiek od początku samego nie patrzał. Zdawało się, że oni się niewiedzieć jakiego chleba dorobią, bo to prawie że darmo im się dostało. No, ale jak dobrego za dużo, to niedobrze widać, bo i z nimi tak właśnie się obróciło. Niejeden z łakomstwa wziął za wiele, a mieli też i majstra nad wszystkie majstry, więc jak on to tam wszystkiem zamącił—jak się wzięli do procesów z nim i między sobą, tak zamiast dorobku zakradła się bieda. Tu,

panie, po kupnie to przez pięć lat jakie nic nie było, tylko sprawy i procesy. Gotowego grosza tak dalece nie było, podzielić się zgodnie nie chcieli, a dyabeł przez ten czas nie spał, więc tak powoli, powoli się to wciągnęło wszystko prawie jemu na służbę.

— Komuż?

A no temu, którego kobietę pan dobrodziej przywiozłeś ze sobą. Schowali go tam pewnie teraz na czas jakiś, ale on wyjdzie i każe sobie jeszcze za swój ambaras dobrze zapłacić. Toż on ich tak wykierował poganin. Oni go, panie, nienawidzą jak dyabła, ale go się boją wszyscy, a co gorsza, że go słuchają. Jak się przyszło dzielić, zagarnął dla siebie co najlepsze; oni przystać nie chcieli, więc tak: sprawa za sprawą, komornik za komornikiem. Zjedli się sami, ale i jego zjedli. Nie trzeba panu mówić, wmięszały się żydy, wjechała w to lichwa, więc ani gospodarki, ani roboty, no a reszta to już przyszła sama z siebie. Dzisiaj proszę pana, jak co zginie, to najprzód śladują do Kamionnej—gdzie konie skradzione bród przeszły, to pewnikiem w Ka-

mionnej. Dużo gadali o Kamionnej ludzie dawniej, ale co teraz, to jeszcze więcej gadają jak wtedy.

— O jakiej Kamionnej?

— A o jakiejżeby? Jedna jest przecie w tych stronach—jedna ale dobra.

Nie rozumiałem nic. Spodziewałem się że przez Kamionnę jechać będe, czekałem nawet na to, ale mi się zdawało, że to będzie gdzieś dalej. Czyżby to miała być miejscowość ta sama? Ponowiłem badania, pytał i on ze swojej strony—ów przewodnik mój po tym kawałku ziemi pełnym szacownych dla mnie wspomnień, aż gdy się dowiedział, że nie pierwszy raz jestem tutaj, że owszem dawnych jego panów i dziecko ich, i wiele okoliczności dotyczących losów tej rodziny zupełnie dobrze mi są znajome, rozgadał się jeszcze więcej, przypominając i objaśniając to, co mojej wiadomości nie doszło.

— Tak jest, panie — mówił z widocznem wzruszeniem. — To ta sama Kamiona, a kiedy pana to tak zajmuje, to proszę kawałek pójść ze mną — pokażę i resztę. Będzie co widzieć.

— Ot tu, jeśli pan dobrodziej ma pamięć jak należy, to tu stały budowle dworskie; kilkanaście to lat już temu, więc by się dziś nawet tego nikt nie domyślił. Tam het, dalej ciągnęły się ogrody—wie pan, te ogrody piękne, po których pnie już dawno w ziemi wygniły. Ot, ten jeden jawor i te dwa buki, że to niby osobliwość u nas, więc to zostawili spokojnie. A to panie, człowiekowi, co z tem państwem razem się na tej skibie urodził i do grobu ich wszystkich koleją odprowadzał, serce z żalu zamierało, a i dzisiaj po tylu latach...! No spojrzyjże pan— tu był dwór i nawet szczytową ścianę z niego zostawił sobie na swoją chałupę. żeby choć tego był nie zrobił! No i to cała już reszta z tego co po nieboszczykach zostało.

— I któż to tu mieszka teraz? — zapytałem niemniej poruszony od mego przewodnika.

— A któżby? ten Stach — niby mąż tej kobiety co z panem przyjechała.

ODKRYCIE.

Epizod z naszej epoki.

Dziewiąta godzina bije zwolna na staroświeckim zegarze, który w długiej machoniowej szafie wypełnia przestrzeń między dwoma oknami, niedostatecznie oświetlającemi wnętrze głębokiej jadalnej sali.

Sztywny ma wygląd ta komnata, bezbarwny i posępny nawet. Jednego rzutu oka wystarczy, aby stwierdzić, że to część apartamentu zamożnego człowieka, ale o tym człowieku usprzęcenie samo nie wiele nam powiada. Olbrzymi z naturalnego dębu rzeźbiony kredens świeci w górnej połowie kosztowną srebrną zastawą, a stylowe fotele dokoła owalnego stołu liczbą zaświadczają, że ten stół gromadzić może większą ilość biesiadników. Zresztą pusto, jak to zwykle bywa w salach jadalnych każdego mniej więcej miejskiego mieszkania o tak wczesnej go-

dzinie. Jedyną może wskazówkę co do tego, kim może być gospodarz domu, stanowią rozwieszone na ścianach miedzioryty, szczególnie wiekiem swoim odbijające od reszty umeblowania, noszącego wyraźny stempel ostatnich czasów. Te sztychy przedstawiające: Vigmana oddającego oręż zwycięzcy, Maryę Stuart w orszaku żałobnym, i piękną zamyśloną twarz kobiecą z napisem: *La vertu chancelante*, mówią wyraźnie, że pan domu to człowiek dawniejszej daty, mający jakieś swoje przyczyny czy kaprysy, które mu nie pozwalają rozstać się z tymi zabytkami starymi rytowniczego kunsztu, i z tym zegarem, który prawdopodobnie piątemu już pokoleniu chrapliwie wydzwania swoje godziny.

Nie traćmy jednak czasu na domysły próżne, bo oto ukazuje się właśnie we drzwiach ten, o którego nam chodzi. Wiek jego odgadliśmy trafnie. Ta twarz sucha, wyrazista, z pedantyczną starannością wygolona, nie pozwala przypuszczać, aby jej właściciel mógł sobie liczyć mniej niż sześćdziesiąt lat jakieś. Co zaś do reszty szczegółów, dotyczących jego do-

mniemanego stanu i profesyi, to są one tak wymowne, że każdy średni nawet spostrzegacz obznajmiony ile tyle z cechami zewnętrznemi naszych typów miejscowych, od pierwszego spojrzenia odgadłby w tej męzkiej postaci lekarza — notabene jednego z wziętych, z niezbędnych nawet — takiego mianowicie, bez którego przedśmiertne w różnych domach możnych koleżeńskie pogadanki, pospolicie zwane konsyliami, nigdy prawie się nie obchodzą.

Jednem słowem jest to wziętość lekarska niezaprzeczona i powaga niekwestyonowana przez nikogo. Jako dopełnienie charakterystyki, winniśmy nadmienić, że ta twarz budzi istotnie zaufanie, i że po bliższem w nią wpatrzeniu, trudno się dziwić tym wszystkim, którzy się jej urokowi profesyjnemu oprzeć nie mogą.

Ma niewątpliwie miasto nasze wyrobiony typ tego rodzaju, który staraliśmy się uwydatnić tutaj w głównych zarysach, a jeśli nam się to ile tyle powiodło, to z pewnością przypomnieć powinna sylwetka doktora L. jedną z tych postaci,

o które każdemu z czytelników raz przynajmniej w życiu otrzeć się przyszło.

W tej chwili doktór L. wchodzi krokiem swobodnym i nie zupełnie harmonizującym z barwą jego włosów, powagą jego stanowiska, a nadewszystko z ogromem zajęć, jakie nań każdego poranku oczekują. Jest też to przykład wymownie świadczący, do jakiego stopnia energia życiowa długo podtrzymuje organizm człowieka czynu na jego naturalnej pochyłości.

Następuje parę odruchowych konfrontacyj kieszonkowego chronometru z czasem jaki wskazuje stary zegar, a potem kilkakrotne oglądanie się, świadczące, że dr. L. oczekuje kogoś, albo że mu brak w danej chwili jakiejś twarzy, którą codzienie o tej porze widuje obok siebie. Rzuca też krótkie, pewnem zdziwieniem czy niepokojem tchnące, pytanie służącemu, który mu właśnie podaje herbatę:

— Panienka?..

— Nie wiem—nie zeszła dotąd. Czy może zapytać?..

— Idź do Joasi...

Okazuje się jednak niebawem, że wia-

domości od służącej zasięgać nie trzeba, bo przedmiot niepokoju ojca zjawia się w tej chwili w drzwiach przeciwległych tym, w których spostrzegliśmy wchodzącego jego samego.

Przypatrzmy się bliżej osobie, która nietylko jako jedynaczka możnego bardzo domu, ale i jako zupełnie niecodzienna postać kobieca, zainteresować nas powinna, tembardziej, że z jej właśnie życia wyjmujemy epizod, który czytelnikom opowiedzieć zamierzyliśmy.

Panna Julia L. ma obecnie lat dwadzieścia cztery najwyżej, postawy jest nieledwie imponującej, a rysów twarzy tak doskonale harmonijnych, że je prawie wyrzeźbionymi nazwaćby można. Zresztą układu swobodnego, bez ujawnienia cienia nawet tej świadomości, jaką by u młodej osoby, przykuwającej do siebie wszystkie spojrzenia wszędzie, gdzie się pojawi, podejrzewać można. Czy to jest oswojenie się z wrażeniem wywoływanem stale i niezmiennie, czy zupełna na tego rodzaju przywileje obojętność — trudno odgadnąć, ten jednakże, kto wie, że p. Julia jest od trzech już lat narzeczoną

dobrowolnie i bez wpływów zewnętrznych wybranego czlowieka, ten się raczej ku ostatniemu przypuszczeniu skłonić powinien. A przytem widać tam na czole tyle myśli głębokiej, w oczach taki wyraz spokojnej rozwagi, że o małostkach, pospolitym kobiecym organizacyom właściwych, mowy tu nawet być nie może. Panna Julia to kobieta skończona i zupełna. Jej obecność wyjaśnia nam znaczenie jednego z tych miedziorytów. To musi być przypadkowy portret jej, lub jej matki, zmarłej przed dwudziestu z górą laty—prawdopodobnie matki.

Powitanie z ojcem serdeczne z jej strony — ze strony tego ojca nie pozbawione pewnego śledczego spojrzenia, aż do wnętrza samego istoty, od którego taki renomowany dyagnosta, jakim jest doktór L odnośnie do osoby bliższej sercu, nigdy zupełnie wolnym być nie może. W tej chwili ma on, jak widać, swój specyalny jakiś po temu powód, bo marszczy mu się czoło, ręka nałogowo prawie wyciąga po dłoń córki, a ta siadając opuszcza ją niedbale, pragnąc rozproszyć niepokój ojcowski uśmieszkiem—trochę przy-

znać należy, sztucznym i wymuszonym. O ile się jej to powodzi, przekonać się możemy z pierwszego zaraz odezwania się doktora L.

— Nie spałaś?..

— Owszem...

— Dajmy pokój odraczaniu wyjaśnień, które zawsze czas robi koniecznemi. To zła metoda. Zresztą powiem ci, że nie od dzisiaj widzę zmianę w tobie, a to co spostrzegam w tej chwili, to już będą następstwa chyba. Co ci jest?—Powiedz.

— Nie wiem o niczem... czuję się zdrową zupełnie.

— To nie jest odpowiedź, a przynajmniej nie dla mnie. Nie nalegam, ale zdaje mi się, że masz niepokój jakiś wewnętrzny, troskę—nie wiem wreszcie co, ale faktem jest, że coś ukrywasz przedemną.

— Nic nie ukrywam...

— Nie jest to chwila na dłuższą rozmowę, i pomimo że mam z tobą do pomówienia, nie wolno mi zapomnieć, że mój czas na minuty nieledwie obliczony.— To też w kilku słowach zamknę to, z czem się noszę od jakiegoś już czasu.

A pragnąc, jak widać, pozbyć się świadka, który wedle przyjętego zwyczaju stał w pobliżu czekając rozkazów, rzucił mu przez ramię szybko:

— Janie! konie gotowe?

— Wyprowadza Jakób właśnie—odpowiada zapytany wyjrzawszy oknem.

— Zbierz dzienniki wczorajsze i wynieś do karety.

Po oddaleniu się służącego, który zrozumiał, czego właściwie od niego żądano, zapanowało chwilowe milczenie, które z wyraźnym wysiłkiem przerwał doktór:

Posłuchaj mnie, dziecko. Wszelkie położenia fałszywe mają to do siebie, że złe tkwiące w nich z biegiem czasu koniecznie zaostrzać się musi. Zawieranie związków lekkomyślne, bez obustronnego zbadania charakterów i wzajemnej skłonności, jest niedorzecznością prostą, ale nie idzie zatem, aby przewlekanie w nieskończoność wykonania tego, cośmy raz postanowili, mogło mieć jakąkolwiek stronę dodatnią. Ani to dla ciebie, ani dla niego. Mnie stare moje doświadczenie zresztą mówi, że to rychlej lub później źle

się zwykło kończyć, bo ztąd wszystkie nieufności, wszystkie podejrzenia, ztąd poddawanie rozwadze spraw rozważonych już należycie, bo nakoniec dwoje ludzi przyglądać się sobie przez lata bez różnych niespodzianek i odkryć ujemnej natury, nie może. W ciągu lat, nawet na słońcu doszukać się można plam. Nie zapominajcie o tem oboje — nie zapominaj zwłaszcza ty, bo jużciż to kilkakrotne zmienianie terminów dla połączenia się waszego naznaczanych, nie jego przecież jest dziełem. Nie byłem ja wprawdzie nigdy za tem, aby się skrupulatnie rachować z każdym kaprysem, jaki nam narzuca opinja, ale rozumiesz chyba, że jest w tak postawionym stosunku dwojga ludzi coś śmiesznego, a to wcale nie pożądane. Miałem wstręt do śmieszności przez całe życie moje, podobnie jak do wszelkich sytuacyj niejasnych i niezdecydowanych. Pomyśl o tem, kochanie, bo nie mówiąc już o rozstroju twoim nerwowym, który za bezpośrednie następstwa tego stanu rzeczy uważać muszę, powiem ci nawiasowo, że czuje się i ja potrochu zakłopotanym wobec świata. Widzę, że

umierają ludzie z ochoty wypytywania mnie, jak stoją te sprawy, a ja nadrabiać muszę chłodem, aby nie dopuścić do wyjaśnień, których wreszcie przy najlepszej woli daćbym nie potrafił.

— Milczysz... Nie wiem jak mam to rozumieć. Ha! widać że to coś ważniejszego, niż pierwotnie przypuszczałem. Ja myślałem, że to ociąganie się, a to będą zdaje się przeszkody. Wszak odgaduję?

— Alboż ja wiem sama. Nie od dzisiaj datuje to, co mię niepokoi, a przytem...

— Przytem co?

— Przybywa mi obaw, wątpliwości... powiedziałabym, że się zachmurza dokoła nas, a w ostatnich czasach nawet...

— Nie trzymaj że mnie w tem zawieszeniu. Powiedz co masz do powiedzenia odrazu...

— Dzisiaj nie mogę.

— Ach! Więc to będzie sobie ciąg dalszy z nieokreślonym terminem — tak jak dotąd.

Żywy przymus i niechęć odbiły się na twarzy młodej kobiety, i dlatego odwracając głowę, powiedziała powoli, z namysłem.

— Proszę o parę dni czasu—potrzebne mi są—nie mogłabym inaczej. Dzisiaj nie nalegaj na mnie ojcze, bo dzisiaj ja sama nie wiem na pewno.

— Kto mógł czekać tak długo jak ja, temu parę dni różnicy nie stanowią żadnej. Zgoda na te parę dni. Czy po ich upływie ja się mam zapytać, czy przyjdziesz do mnie sama? Nie chciałbym być natrętnym—powiedział doktór, a nie odbierając odpowiedzi wziął kapelusz i rękawiczki przygotowane na małym stoliczku, i powolnym krokiem zwrócił się do przedpokoju, przekonany, że tym razem zajść musiało między dwojgiem młodych coś poważniejszego, a może i stanowczego zupełnie.

Tak jak wyglądała panna Julia po odejściu ojca, wyglądają ludzie, którzy stanąwszy nad przepaścią radziby spojrzeć na jej dno, a nie starcza im na ten krok determinacyi i odwagi — i ci także, którzy się zbyt długo noszą z jedną myślą, od tej myśli niby od zmory dręczącej odżegnać się nie mogąc — wszyscy zresztą wogóle, którzy widzą przed sobą konieczność pójścia na prawo, albo na le-

wo, a jedno i drugie zarówno im się przeciwnem wydaje.

Czara jednakże stała pełna po brzegi i należało ją wychylić odważnie, albo wylać bez długiego namysłu. Czas naglił i dłuższe status quo po rozmowie z ojcem stawało się niemożliwem.

A tu właśnie wybór środków do przeprowadzenia tego, co sobie oddawna uplanowała, taki był trudny niezmiernie. Prosto do celu iść—znaczyło to prawie na pewno chybić tego celu; chodzić manowcami, szukać ścieżyn krętych? Na samo przypuszczenie czegoś podobnego obrzydzenie ją zdejmowało. Tak się to jakoś przedstawiało nie po kobiecemu, tak nielojalnie i poniekąd pospolicie nawet. A jednak—zdawało się, że nie można inaczej.

Umyć ręce własne od tej roboty—pozostawić ją komuś? Omało że nie krzyknęła z oburzenia na samą myśl takiego zszarzania nazwiska swego, które było przecież nazwiskiem jej ojca. Komentarze, ploteczki uwłaszczające, obłudne oznaki współczucia — lepiej umrzeć odrazu! Pozostawał i on przecież — on, ten czło-

wiek, którego będzie miała siłę odsunąć od siebie w razie ostatnim, ale na pośmiewisko publiczne oddawać go nie ma zamiaru. Przez lata całe, łączono ze sobą ich imiona, widywano razem oboje. Nie! po stokroć nie! Zrobi sama cicho, dyskretnie, albo wcale nie będzie zrobione...

Nie będzie zrobione?.. Czyż to mogłoby jednak pozostać tak jak było dotąd.

W godzinę jakąś potem widzimy pannę Julię idącą jedną z ulic pryncypalnych, ale dobrze umiałby patrzeć ten, ktoby ją poznał tak odmienioną, jak jest w tej chwili. Twarz osłania woalka prawie że nieprzejrzysta, całość ubrania tak starannie obmyślana, aby nie zwracała uwagi, i może być, że gdyby nie ten chód szczególnie wdzięczny, nie ta postawa tak bardzo wyróżniająca, cel byłby do pewnego stopnia osiągnięty. Przy tem *ensemble'u* jednakże panna Julia osiąga skutek nieledwie że wprost przeciwny, dla dobrego mianowicie obserwatora. Każdy taki zapytaćby musiał: „gdzie się też wy-

brała incognito ta osoba, i na jaką intencyę ta maskarada? Hm!..“

Panna Julia nie wie jednak nic o tem, idzie śmiało i niebawem skręca w jedną z przecznic. Tu w trzecim domu od rogu jest czytelnia abonamentowa, i tam widzimy ją wchodzącą ku niemałemu zdziwieniu naszemu, bo istotnie w takiem naprężeniu umysłu, i przy takiej trosce w duszy, wypożyczalnia książek jest chyba jednem z ostatnich miejsc, któreby komuś na myśl przyjść mogło. Skoro jenak tam, a nie gdzieindziej weszła, zobaczmy o co jej idzie.

— Proszę pani—oddzywa się głosem lekko drżącym p. Julia—numer 3271...

— Panna załatwiająca interesantów nie daje jej dokończyć, i rozejrzawszy się jednym rzutem oka po półkach, odpowiada krótkiem:

— W czytaniu.

— Ja wiem, że był w czytaniu, ale ja umyślnie przyszłam... ja chciałam zawiadomić panią, że ta książka... zginęła.

— Ach to bardzo nieprzyjemnie!.. Tyle właśnie jest zgłaszających się o nią;

wczoraj nawet wysłaliśmy z zapytaniem, i nie wiem dlaczego...

— To źle, że pani nie wie—pani powinna wiedzieć,—odzywa się cierpko chrapliwy głos, wychodzący z gardła kobiety niemłodej, zgryźliwego zdaje się, temperamentu. Dobywa się to skrzeczenie z poza przepierzenia przy pomocy szaf i pułek książkowych urządzonego, a panna Julia uczuwa, źe nigdy może interwencya osoby trzeciej nie była jej mniej na rękę jak w tej chwili. To uczucie przeciwności wzrasta, gdy z poza wełnianej kotary, spuszczonej między dwiema szafami, wynurza się zrazu siwa ogromnych rozmiarów grzywka, a za nią i całość osoby rozporządzającej tym naderwanym dyszkańtem.

— Pani powinna wiedzieć—dokończa swojej tirady monitującej stara dama, że nazwisko i adres podane nam zostały fikcyjne, to też wczoraj posłany woźny, w celu sprawdzenia rzeczy na miejscu, przyszedł z odpowiedzią stróża domu, który nam wskazano, bardzo dla nas dotkliwą. My nie nawykliśmy do tego, żeby nas kto

mistyfikował, bo co się tyczy nazwisk, to można znaleźć w naszej księdze abonamentowej bardzo szanowne, chyba musiałabym tedy przypuszczać...

Stara dama dopełnia myśli swojej uśmieszkiem szyderczym, od którego krew napływa na twarz osłoniętą gęstym woalem, a nogi wypowiadają posłuszeństwo. A tymczasem właścicielka czytelni zwraca się do swojej podwładnej, zapytując:

— Więc gdzież jest ostatecznie ta książka?

— Ta pani mówi, że zginęła.

— To bardzo odpowiednie zakończenie całej sprawy. I zapewne będziemy musieli się zadowolnić zastawem jako wynagrodzeniem—mówi wciąż do swojej wyręczycielki, ignorując tę stojącą na środku nieporadną męczennicę sytuacyi, która zdobywa się nareszcie na trochę przytomności, i zaręcza zgryźliwej pani jako jest gotową zapłacić wszelką cenę żądaną. Podają jej tę cenę w trójnasób wyższą niż się należało, ona dobywa z pośpiechem pieniądze, składa je na stole i znika jak może najprędzej z pokoju, w którym podłoga pali jej stopy.

Znalazłszy się w bramie ociera p. Julia pod woalem czoło gęstym potem zroszone, robi jeszcze jeden odruch, jak gdyby zamierzała się wrócić. a następnie gest rezygnacyi, i wkrótce widzimy ją zwolna idącą do domu. Gdybyśmy mogli czytać w myślach tej osoby w chwili tego jej zniechęcenia, a następnie zamienić te myśli na dźwięki mowy, usłyszelibyśmy monolog tej dosłownie treści:

— Oto jak wyglądają pieszczochy losu w pierwszem lepszem zetknięciu z koniecznościami życia. Zdawało mi się, że dosyć będzie jednego kroku, żeby się odrazu dowiedzieć o wszystkiem. Nie dowiedziałam się nic, połknęłam przykre upokorzenie, i zostałam równie mądra jak kiedym wychodziła na tę moją pierwszą samodzielną wyprawę. A przekonana jestem, że ktoś inny na mojem miejscu byłby doszedł kłębka po nici, bo jużciż nić była w moim ręku. Urwałam ją sama niezdarnem wzięciem się do rzeczy, i na teraz jak się zdaje, skończone. A dalej co?— zapytuje się wstępując na wschody domu. Okropna rzecz jest samo pomyślenie o pomocy obcej w tej sprawie drażliwej, a bez

pomocy nie dokonam niczego, bo już zrozumiałam nareszcie żem nieporadna i trwożliwa i nie dosyć przytomna nawet. A gdybym wreszcie zdecydowała się na czyjkolwiek współudział w mojej ciężkiej trosce, to gdzie ten człowiek...

— Jeśli to nie przypadek a przeznaczenie wychodzi naprzeciw mnie w tej chwili—poszepnęła z rodzajem przestrachu p. Julia, to trzeba przyznać, że los okrutnik umie do udręczeń dodawać swoje szyderstwa. To indywidium i pomoc czynna!... ironja prawdziwa. No wypijmy i ten jeszcze kielich goryczy dodatkowej!

Nieszczęśliwcem, który tak niepochlebny wykrzyknik pięknej panny wywołał, a który właśnie ciągnął za rączkę dzwonka wiszącego przy jej drzwiach, był tak nazywany w domu doktora L. kuzynek Hannibal. Nieszczęśliwcem nazwaliśmy go dlatego, że prześladowała go wytrwała niełaska powabnej kuzynki, do której przewracał oczy w sposób szczególnie komiczny, poczynając od piętnastego roku jej życia—a w części dlatego, że gdziekolwiek się ukazał, budził podziwy niezaszczytne, a niekiedy i wybuchy we-

sołości wcale dlań niepochlebne. A był wszędzie, nawet tam, gdzie go nie posiano. W towarzystwach, do których uczęszczał, obarczały go kobiety niezliczoną ilością komisów, które spełniał bez szemrania, w biurze, jego wyróżniająca rycerska postawa i jego słabiutki a raczej żaden charakter były przedmiotem złośliwych napaści, które znosił z przykładną cierpliwością. W wypadkach nawet, w które go uwikłało wszędobylstwo własne, odegrywał wielce komiczną rolę, szczególnie zaostrzoną przez to imię jego tak niefotunnie dobrane. Jednem słowem między ludźmi spełniał p. Hannibal smutną misyę, którą ten tylko mógł ścierpieć, kto do niej latami całemi nawykał, a przez to do pewnego stopnia ignorować się nauczył. Doktorowi oświadczał się on corocznie o córkę w dzień jego imienin, ten odsyłał go do niej samej, a ona do licha ciężkiego—w grzeczniejszych nieco wyrazach. Od czasu jak p. Julia została zaręczoną uroczyście, oświadczyn nie ponawiał, ale przybierała boleść jego tak ucieszne formy, że mu za to samo niedorzeczność jego pretensyi darowywano. Jednem słowem

w domu doktora L. kuzynek Hannibal był codziennym prawie nieuniknionym, ale więcej sprzętem jak człowiekiem. Ot, taki sobie jeden z wielkiej rodziny komparsów społecznych.

Takiego człowieka znalazła przed sobą młoda kobieta w chwili ciężkiego udręczenia połączonego z poczuciem zupełnej prawie bezsilności własnej. To też nie dziw, że podczas gdy on w salonie oczekiwał jej powrotu, ona usiadła w swoim pokoju i oparłszy głowę na rękach oddała się cała myślom, które jej ów pierwszy chybiony krok w nowem, a posępniejszem jeszcze niż przedtem, ukazywał świetle.

Rozumiała już teraz dobrze, że zadaniu nie podoła, że jej potrzeba oprzeć się na kimś znającym życie lepiej od niej, ale gdzie szukać tego zbawcy? Przebiegła koleją wszystkich znajomych bliższych i dalszych—kobiety i mężczyzn, i ani na chwilę jedną nie zatrzymała się myśl na żadnem z nich. Ci z jednych, tamci z innych względów na powierników tej delikatnej sprawy nie nadawali się w żaden sposób.

A tam w salonie słychać było kroki tego niedołęgi umysłowego, tej mierności upośledzonej, przybranej w elegancki garnitur, tego po tylekroć odtrąconego aspiranta.

— Ha dziej się wola Boża! — zawołała z determinacyą. — Spróbuję. Przecież mu nie powiem wszystkiego, sprawy skompromitować nie pozwolę, a jakiś, jakiś pożytek raz przecie z niego wyciągnąć potrafię, i z twarzą, na której odbijał się jeszcze stan wewnętrzny, stanęła przed gościem swoim.

Gdy weszła do salonu, on zarzucił ją zwyczajem swoim powodzią prawdziwą tuzinkowych miejskich ploteczek, ale wprędce, nawet mimo płytkości i roztrzepania swego, dojrzał z jej oczu zapatrzonych gdzieś w dal, że słuchaczka o sto mil jest myślami od tego szczebiotu całego. Obniżył też odrazu nastrój, z jakim spełniał swoją towarzyską funkcyę, potem zamilkł zupełnie, a wreszcie z pewnym niepokojem zagadnął nieśmiało:

— Co tobie, kuzynko?

— Powiedz no, ty stare niepoprawne dziecko — odezwała się p. Julia nie zwa-

żając zupełnie na wszystko, z czego jej się przed chwilą wywnętrzał, a nawet nie odrywając oczu od tego punktu w przestrzeni, w który się automatycznie wpatrywała — powiedz ty mi, czy przy wielkiem natężeniu woli, możesz w ciągu kwadransa odpowiadać z rozwagą na pytania, którebym ja naprzykład postawić ci chciała?

— Bóztwo moje! pytaj!

— Zachęcający wstęp! — pomruknęła apatycznie, ale wprędce zbierając siły, zaczęła znowu:

— Zanim powiem o co mi chodzi, chcę cię objaśnić pod jakimi warunkami mogę zażądać od ciebie tej przysługi. Wiesz, że nie mam zwyczaju narzucać się komukolwiek, a tobie nie więcej jak innym, jeśli więc na ten raz jeden robię względem ciebie wyjątek, muszę mieć po temu powody ważne.

— Zrobię wszystko — zrobię więcej jak każesz, — zapewniał p. Hannibal zachwycony rolą powiernika, która mu podwoje raju, dzięki jego wyobraźni galopującej, otwierała.

— O to właśnie chodzi, żeby nie było nic więcej jak to tylko, o co ja prosić będę. Ani odgadywania, ani domyślności, ani wywiadywań żadnych—wprost czy ubocznie. Jakże—zgoda?

— Przysięgam, że będę widział to, co każesz widzieć, a potrafię zamknąć na resztę oczy.

— Kiedyś taki ustępny — słuchajże!

— Zamieniam się w słuch cały.

— Czy niema u nas — tu zatrzymała się na chwilę — instytucyi, biura biegłych kaligrafów, a w braku tego pojedynczych ludzi, którzyby używani byli w potrzebie jako kaligrafowie — rzeczoznawcy przy sprawach sądowych naprzykład?

— Instytucyi niema — to wiem napewno; ludzie pojedynczy muszą być, bo...

Tu urwał sobie nagle p. Hannibal, a w chwilę potem uderzywszy się w czoło z archimedesowym zachwytem, wykrzyknął:

— Gdzie moja głowa! Ależ ja mam — mam człowieka! Tego nikt by ci w Warszawie wskazać nie mógł prócz mnie — uważasz kuzynko — nikt prócz mnie jednego!

— W takim razie, znaczyłoby to, że jest on jedną z t. z. wielkości zapoznanych, a ja tego bractwa, wyznaję, że nie obdarowywam mojem szczególnem uwielbieniem.

— Ależ to wyjątek — wyjątek pod każdym względem.

— Czy stawał kiedy jako biegły?

— Nie u nas.

— A gdzież stawał skoro nie w kraju?

— Tylko w Anglii.

— Opowiedzże mi, co o nim wiesz.

— Ach, to dramat cały...

— W takim razie opuść prolog i ze trzy akty przynajmniej.

— Niech i tak będzie! Epilog, to jego życie dzisiejsze, będę tedy musiał zacząć od czwartego. Widzisz kuzynko, my poznaliśmy się z nim w ten sposób: W czasie tułaczki mojej po różnych miastach Europy, zabłądziłem ja pewnego razu i do Londynu także. Zrazu wydało mi się, że nie zagrzeję tu długo miejsca, ale okoliczności zrządziły inaczej. Póki były środki, szukało się rodaków, żyło jako tako, i wtedy też poznałem się i ze starym Hermanem, który się liczył do

tamtejszego wychodźtwa. Ja byłem młody, on miał już coś koło pięćdziesiątki, ja szukałem towarzystwa, on biegał za pracą od rana do nocy, i stało się tak, że bez wielkiego trudu i zachodu ja mu niby do znalezienia tego zarobku trochę dopomogłem. Stary był i jest ogromnie poczciwy, i powiadam ci kuzynko, że kiedy koło mnie zrobiło się bardzo, bardzo krucho, jak to zresztą bywało zawsze peryodycznie, to mnie wziął do siebie i pamiętał o mnie, no i...

— Rozumiem, ale mówmy o nim. Więc on tam na obczyźnie wypłynął?

— A jakże.

— I jakim sposobem?

— Zaczął od litografii, bo to artysta potrochu i właściwie mówiąc on nie pisze, ale rysuje swoje litery, a przytem bawił się między innemi i grafologią. Przez to należał do jakiegoś klubu londyńskiego, a już tam później, po uzyskaniu naturalizacyi, udało mu się dojść do tego, że został biegłym przysięgłym i to nawet podobno jednym z reputowanych bardzo.

— Wrócił do kraju dawno?

— Niedawno—rok temu dopiero. Powiada, że przyjechał umierać, jak to on się wyraża, na swoich śmieciach.

— A tu co robi?

— Żyje biednie — potrzebuje mało, a wreszcie może ma jakieś swoje szczupłe zasoby z tamtych czasów. Jest przytem rytownikiem.

Panna Julia popadła w zadumę. Kuzyn opowiadał jej jeszcze coś o swoim starym znajomym, ale jej teraz niepotrzebne były dalsze szczegóły. To, czego się dowiedziała wystarczało zupełnie. Jeśli tylko tak się miały rzeczy, a wszystko pozwalało przypuszczać, że nie inaczej, to znaczyło, że ona swojego człowieka znalazła, i że dalsze rozglądanie stawało się od tej chwili zupełnie zbytecznem.

Zresztą po zagmatwaniu się sprawy w czytelni, innej drogi dochodzenia, właściwie mówiąc, nie było. To też po krótkim namyśle przystąpiła do zużytkowania wiadomości, które nad wszelkie przewidywania mogły się okazać ważnemi, pomimo że wychodziły z tak podejrzanego źródła informacyi.

— Powiedz ty mnie, mój nieoceniony sprzymierzeńcze, czy ja mogłabym się widzieć z tym człowiekiem?

— Widzieć? — widzieć osobiście?

— Nie znam innego sposobu widywania się.

— A czy ja nie jestem w możności służyć wam za pośrednika?

Panna Julia za całą odpowiedź pokręciła głową przecząco.

— Nawet gdybym włożyć w to chciał całą wymaganą dyskrecyę i przebiegłość?

— Nawet gdybyś był dyskrecyą i przebiegłością samą, a wie Bóg, wiedzą ludzie, i wiesz ty nawet, jak dalekim jesteś od możności pochlubienia się tymi szacownymi przymiotami. Widzisz, że mówię otwarcie i że mam słuszność.

— No, dajmy na to! Ale bo widzisz — protestował p Hannibal, który nie rad był zapewne, że jego rola medyatora tak szybko się urywa — bo widzisz to kawał dziwaka, mizantropa,..

— Nie może być inaczej — zadyktowała p. Julia z powagą i absolutyzmem pięknej kobiety, która mówiąc do swego

niewolnika, wie dobrze, że stać się musi to, czego ona wymaga.

— Ha! niechże będzie jak chcesz, chociaż zastrzegam z góry, że nie wiem, czy wymogę to na nim. Odludek, starzec, człowiek właściwie mówiąc, bez form towarzyskich...

— Dajże ty pokój z twojemi formami! Kto tu żąda od niego form? Co mnie po jego formach?

— A jak on nie zechce tu przyjść?

— To ja pójdę do niego, a nawet przyznaję się, że z góry byłam na to przygotowana.

— Do niego? Żartujesz chyba. Poddasze — czwarte piętro — rynek Starego Miasta. Nie mówisz przecie seryo, kuzynko?

— No, skończmy, mój ty człowieku seryo. Idź do niego, i w imię tych usług, które mu oddałeś, albo tych, które on tobie oddał niegdyś, a przypuszczam, że bezpieczniej będzie ci powołać się na te ostatnie, jako na realniejsze — w imię całego jednem słowem dobrego stosunku waszego, zakołacz do jego uczynności,

i wyjednaj mi spotkanie, zejście się, przyjęcie, czy posłuchanie.

— ...Niechajże będzie jak chcesz, chociaż ja zawsze...

— Ach tak! Ty zawsze... ja wiem, ale ja chciałabym wyjątkowo, żeby nie było dzisiaj jak zawsze... Wszak rozumiemy się.

— Więc ja mam iść do niego?

— O tem przecież mówię ci ciągle.

— I zapowiedzieć mu?

— Zapowiadaj co chcesz i jak chcesz, byleby rezultat był dla mnie pomyślny, a odpowiedź dziś wieczorem.

— Rezultat pomyślny, a odpowiedź dzisiaj...—powtórzył machinalnie p. Hannibal naciągając rękawiczki i zabierając się do wyjścia.

— Zaczekajże, — upominała p. Julia odchodzącego. — Jeszcze jedno pozostaje do ułożenia. To jest człowiek ubogi, a przynajmniej pracujący na chleb. Wynagrodzenie wszelkie, jakie on ci zaproponuje, ja przyjmuję z chęcią.

— Wynagrodzenie? Za co?

— Miły Boże i po cóż ty tam idziesz? Przecie ja mam od niego żądać usługi,

objaśnień, których tylko on dostarczyć mi może, bo to jego specyalnosć, jego fach. Ułóżże to sobie w głowie jak należy, bo w przeciwnym razie nie będziesz wiedział z czem przychodzisz, i on gotów sobie pomyśleć, że nie ty jeden taki jesteś, ale i ta, która cię przysyła. No, idź mój drogi, bo mię okropnie... martwisz dzisiaj.

Mniej zadowolony o wiele, niż był w początkach tej instrukcyi, wychodził p. Hannibal w owej missyi poufnej, i ani do głowy mu przyszło, że się dzisiaj jego nielitościwe bożyszcze po raz pierwszy na prawdę nim zajmowało, ani się domyślał, że miał być oczekiwanym prawdziwie gościem w domu d-ra L.

Kiedy wchodził wieczorem, aby zdać sprawę z tego, co mu nakazano załatwić, zastał piękną kuzynkę swoją otoczoną dokoła towarzystwem, a w onem towarzystwie znajdował się i ten, którego wśród całego rodzaju męzkiego p. Hannibal nienawidził najszczerzej i najwytrwalej, w przekonaniu rozumie się, że gdyby nie jego przypadkowe zjawienie się w tym domu, on byłby do wielu poufniejszych używany

usług, niż ta, którą w tym dniu pamiętnym został zaszczycony. O sto mil jednakże był on od przypuszczenia, że to o czem rozmawiał przed godziną jaką może ze starym Hermanem, tego właśnie znienawidzonego dotyczyło, i że losy tego tryumfatora, dzięki jego wdaniu się w tę sprawę, bardzo poważnie mogły być zagrożone. Gdyby to był przeczuwał, nie tyle jeszcze byłby w usługach okazał gorliwości, i niejedną z pewnością dodatkową niedorzecznością przyczynił się do udręczeń pięknej swojej kuzynki.

Przed samą dopiero herbatą zawezwano go do buduaru, i tu wytrzymał treściwą indagacyę, którą dla wiadomości czytelnika uważamy sobie za obowiązek dosłownie powtórzyć.

— Byłeś?

— ...Byłem...

— Cóż tak cedzisz? Wiesz, że nie mam czasu.

— No nic... on się niby zgadza, ale... stawia pewne warunki.

— Warunki... — i przy tych słowach uderzyła niecierpliwie nogą, ku wielkiemu

zdziwieniu p. Hannibala, który pobudek rozdrażnienia objaśnić sobie nie umiał, a tem mniej ocenić ogromu przymusu moralnego, jaki sobie zadawała kobieta, utrzymująca już od pewnego czasu prowizoryum stosunku blizkiego z człowiekiem, podczas gdy ten stosunek lada chwila rozerwaniem zagrażał.

— Mówże jakie warunki? — mów prędko!

— On widzisz, chce mieć gwarancyę, że objaśnienia, jakie ci da, nie będą mieć następstw.

— Jakich następstw? — prawnych?

— Wogóle następstw. On powiada, że dosyć już nadręczyła go myśl o składanych zeznaniach, które wysyłały ludzi na galery, że nigdy nie działał dla zysku i wbrew przekonaniom, ale że ta przeszłość jego, w której zostawał na usługach sprawiedliwości ludzkiej, jest czarną kartą jego życia. Ma dosyć tego; radby umrzeć spokojnie. To są jego słowa i te powtarzam ci co do litery.

— Więcej nic?

— No nic, bo też ja nie wiem istotnie nic... nie wiem nawet...

— Dajże pokój. Nie wiesz, bo tak trzeba; teraz staraj się jeszcze zapomnieć o tem, gdzie i poco chodziłeś, a będzie między nami zgoda dobra i długa. Ale... zostawże mi adres i godzinę tu na biurku mojem, i bądź zdrów, bo mi śpieszno.

Ode drzwi odwróciła się i rzuciła swojemu posłańcowi krótkie:

— Dziękuję ci.

Musiało mu być tego podziękowania niedosyć, bo chodził czas jakiś po pokoju pomrukując z niezadowoleniem, a w końcu wykonawszy ramionami i ręką gest oznaczający zrezygnowaną obojętność, poszedł połączyć się z towarzystwem.

Nazajutrz oczekiwała panna Julia z gorączkową niecierpliwością wyjazdu ojca na miasto. Przy śniadaniu panowała nad sobą ile tylko mogła, starała się być ożywioną i czynną. Ale oko starego lekarza nie dało się wyprowadzić w pole. Pod pokrywką tą odgadywało ono burzę wewnętrzną, hamowaną tylko wysiłkiem nerwów—ożywienie było dlań tylko gadatliwością, a co do onej czynności pozornej, wiedział dobrze, że miała na celu unikanie badawczego wzroku ojca, i odwró-

cenie jego podejrzeń. Odetchnęła z głębi piersi, kiedy nareszcie usłyszała turkot karety wyjeżdżającej na ulicę. Teraz powstała szybko, dokończyła z pośpiechem rannej toalety, i zajęła się przygotowaniami do wyjścia.

Przedewszystkiem wydobywszy starannie zachowany w biurku tomik, oznaczony na nagłówku nr. 3271, o którym słyszeliśmy jej rozmowę w czytelni jako o zaginionym, przegląda go bacznie, a wybrawszy kilka stronnic, na marginesie których widać dosyć długie przypisy ołówkiem naprędce robione, zakłada je papierem, resztę zaś obwinąwszy, pieczętuje troskliwie, tak aby nikt nie zobaczył tych przypisów więcej, niż ona uznaje za potrzebne. Z pomiędzy kilkunastu listów związanych osobno, wydobywa jeden, i zamyka go w notatniku, a ten składa obok książki. Wreszcie przeczytawszy uważnie adres pozostawiony wczoraj przez kuzyna na biurku, wychodzi szybko, zapowiadając służącemu powrót swój za dwie godziny.

W trzy kwandranse niespełna potem, odnajdujemy ją już chwytającą pośpiesznie

powietrze po przebyciu stromej drabiny wschodowej, prowadzącej na czwarte piętro. Jeszcze chwilę pozostaje w takiej postawie wyczekującej, a nakoniec nakreśliwszy znak krzyża na piersiach, puka p. Julia kilkakrotnie do drzwi z prawej strony ciemnego korytarza.

Basowym głosem odzywające się „entrez“ z tamtej strony drzwi zdziwiłoby nas na tem staromiejskiem poddaszu Warszawy, gdybyśmy nie wiedzieli, że do starego Hermana, długoletniego po różnych krajach Europy włóczęgi i bywalca, wybierała się młoda kobieta w odwiedziny. Jaki był cel tej wizyty szczególnej, powinniśmy z rozmowy tych dwojga ludzi, obcych sobie dotąd zupełnie, dowiedzieć się niebawem.

— Kuzyn mój — zaczyna p. Julia dźwięcznym, ale drżącym nieco głosem,— upewnił mię, że szanowny pan przychylnie przyjąłeś prośbę moją, i przyobiecałeś mi łaskawie pewne wskazówki, które...

— Czy ten poczciwy Hannibal zrobił przytem wzmiankę i o niektórych skrupułach moich? Boto widzisz pani — dodał po pewnym przestanku — my ludzie sta-

rzy, mający przed sobą grób niedaleki, a po za sobą morze ciepień, kończąc porachunki nasze ze światem nie radzibyśmy wchodzić z nim w nowe powikłania. Masz pani przed sobą starca, któremu choroba nieuleczalna często przypomina blizkość godziny ostatniej — chciejże go, proszę wyrozumieć. Zresztą na postanowienie z mojej strony czas zawsze.

Podczas gdy Herman mówi, p. Julia stara się zrobić szybki przegląd otoczenia tego samotnika, a głównie jego osoby; on ze swej strony zdaje się robić również spostrzeżenia, które wyraźnie wypadają mu na korzyść przybyłej, bo głos starcowi łagodnieje za każdem słowem, a w chwili, kiedy gościowi swemu przystawia krzesło, czuć już w tym głosie przychylność nieledwie ojcowską i przejęcie się szczere jej kłopotliwem istotnie położeniem.

— Spocznij pani chwilę, schody wysokie i złe, a przytem wydajesz mi się pani wzburzoną. Poczekam.

Panna Julia rozgląda się, ale sprawy sobie jeszcze nie zdaje z tego, co ją otacza. Jedno tylko wie napewno, że się o podobną postać w świecie swoim z pe-

wnością dotąd nie otarła. Kto on, i co w nim jest, że taki od reszty ludzi odmienny? Czas upływa jednakże, i koniecznie trzeba przystąpić do rzeczy — niedyskrecyą byłoby przedłużanie tego milczenia wobec człowieka, który niewątpliwie obliczone ma wszystkie godziny. Ta samotnia tchnie atmosferą pracy nieprzerwanej.

Panna Julia wydobywa tomik oznaczony nr. 3271 i podaje go starcowi. On leniwie wyciąga po niego rękę, następnie ogląda tytuł książki i nazwisko jej autora, a usta wykrzywia mu uśmiech lekceważenia, od którego rumieniec ukazuje się na twarzy młodej kobiety. Jeszcze potem zwraca uwagę jego te kilka tylko stronnic otwartych i staranne opieczętowanie pozostałych, a to wszystko dzieje się błyskawicznie prawdziwie, niepozostawiając czasu na wyjaśnienia ani z jednej ani z drugiej strony. Wreszcie dostrzega starzec ołówkowe w kilku miejscach notatki na marginesie, i od tej chwili wydaje się pannie Julii, jakoby nie miał już uwagi dla żadnej sprawy postronnej. Przenosi książkę na drugi stół, stojący pod

oknem, ogląda ją pod światło, odsuwa i przybliża, przykłada lupę, robi jakieś notatki na białej karcie leżącej pod ręką, wreszcie rzuca kilka przelotnych ukradkowych spojrzeń na młodą osobę i pomrukuje zcicha do siebie: Charakterystyczne! Bardzo charakterystyczne!" Niebawem jednak trafia widać na przeszkodę, bo robi ruch ręką, jakgdyby chciał oderwać opaskę zasłaniającą pozostałe stronnice książki, jeszcze raz rzuca okiem na kilkanaście znaków prawie że hieroglificznych, nakreślonych przez siebie, i rozłożywszy ręce odzywa się z akcentem zniechęcenia:

— Materyał niedostateczny!

Panna Julia nie wie dobrze co Herman przez to rozumie, ale ponieważ po dobrym namyśle postanowiła wczoraj ukryć przed każdem okiem obcem resztę dopisków, więc znać na jej twarzy wahanie jakieś, namysł chwilowy, który pierzcha dopiero po wolno upuszczonych powtórnie paru słowach starca:

— Niedostateczny! A szkoda! Prawdziwa szkoda!

Teraz już ona czuje się niewymownie zaciekawioną, a może wciągniętą w jakieś

magiczne koło wpływów wywieranych przez starca, to też nie biorąc w rachubę, ażali to, o czem mówi ów dziwny człowiek, odpowiada zupełnie jej założeniu, albo nie, odrywa z pośpiechem opaskę i wręcza mu do rozporządzenia książkę całą, a w zamian za to odbiera uwagę:

— Bardzo słusznie! Bo też mnie treść tego, co tam nagryzmolono wcale nie obchodzi. Wszystko mi jedno, czy to będzie „Ojcze nasz,“ czy metafizyka, czy korespondencya złoczyńcy. Nie treść dokumentu, pani moja, stanowi istotę rzeczy, bo treść dyktowała wola, która wyjść mogła tak dobrze z czystego natchnienia, jak z najmętniejszych pobudek umiejętną dyssymulacyą osłonionych. Nie treść powiadam, bo treść to ani prawda, ani wskazówka do wykrycia prawdy! Nie to co napisane, ale jak jest napisane! Ot, w czem rzecz! — wykrzykuje z energią, rzucając książkę na stół. No, dobrze! Teraz zobaczymy. Musi tu przecież ani jednej literki, ani jednego cugu nie brakować!

— Mędrzec—szarlatan, czy szalony?— szepcze do siebie z uczuciem dreszczu wewnętrznego młoda kobieta, i osuwa się

w głąb fotelu, nie spuszczając ani na jedną sekundę oka z tej zawiędłej twarzy, pooranej głębokiemi bruzdy, i z tych oczu raz podnoszących się w górę z oznakami wielkiej pracy wewnętrznej, to znowu rzucających blaski jakieś niepojęte, których przyznaje nie oglądała nigdy ani na jawie, ani nawet w sennych marzeniach swoich.

Jemu tymczasem każdy nowy wiersz tych notatek, rozwiązuje widać jakieś wątpliwości, zapełnia luki w spostrzeżeniach, pomaga do snucia wniosków i wyników, bo zajęcie jego wzrasta, bo wykrzykniki mimowolne bez względu na tego milczącego świadka, którego ma obok siebie, same wydobywają mu się z piersi. Wreszcie może on nie wie nawet, że w tej chwili jest tutaj ta kobieta obca.

— Typowe! Zupełnie typowe—mruczy do siebie po kilku minutach zaledwie dosłyszalnym szeptem, ale słuchaczka jego nie upuszcza ani jednej sylaby z tych dźwięków urywanych, czasami tylko zimny pot występuje jej na czoło, a bladość marmurowa na twarz, kiedy usłyszy jakichś kilka wyrazów, które jej domysłom

i przypuszczeniom takie obszerne otwierają pole. Czego dotyczyć mogą te słowa szczególne? — do jakich ludzi i do jakich spraw odnosi je sobie w myśli ten dziwny starzec? Jakaś nieznana i nie przeczuwana atmosfera owiewać ją poczyna, i rozumie tylko jedno, że to jest z pewnością taki świat, w którym ani myślą, ani przeczuciami nie przebywała nigdy do tej pory.

— To łączenie ze sobą spójników z następną literą — mówi teraz wolno a wyraźnie — dało mi przecież w rękę tajemnicę rudego Dicka. A wszyscy mi przeczyli wtedy — wszycy co do jednego! Sam byłem ze swoimi wnioskami, i pięciu lat czasu było potrzeba, żeby moje, jak je nazwano, przywidzenia wyszły na jaw jako prawda niezbita. Ah! te pięć lat! jakie one były ciężkie w mojem życiu! Sam jeden — kto zrozumie jak strasznem jest to słowo? Ale bo też z rutyną—szaloną prawdziwie rutyną wdałem się w spory. Co oni rozumieć mogą wszyscy ci profesorowie kaligrafii o psychologii piszącego, i o całej niezmierzonej głębi tej symboliki znaków, które do nich nie

przemawiają tak jak do mnie żywemi i najwymowniejszemi ze słów.

Nagle zamyśla się Herman, patrzy z natężeniem na jedną z kart książki, na której marginesie więcej niż na innych widać tych ołówkowych dopisków, ogląda wiersz jeden przez lupę, ale i lupa mu jak widać tym razem nie starcza, bo umieszcza książkę na postumencie i jakąś tam jedną literę wsuwa pod mikroskop, i znowu patrzy w sufit, i szuka czegoś w głębi pamięci własnej, a wreszcie uderza się w czoło i mówić zaczyna znowu do siebie:

— No to, to już przyznaję i dla mnie niespodzianka! Takiej kolekcyi zupełnej, gdzieby ani jednego rysu nie brakowało, gdzieby się wszystko wzajemnie objaśniało. nie miałem, chybaby... chyba w tamtem, tamtem piśmie. Ale to dawno... Tak jest, to tylko tamten z procesu 24-ch — głośnego wielkiego procesu, tylko tamten jeden dał mi taki materyał nieoceniony. Ale też to była indywidualność! Zobaczmy jednakże — porównajmy! — Przepraszam panią — zwraca się w tem miejscu do panny Julii, której niepokój wzrasta

z każdym jego komentarzem — przepraszam panią, ale chwilkę jeszcze cierpliwości. Są to w istocie rzeczy dla mnie... dosyć ciekawe — mówi modyfikując stopień swojego przejęcia się, bo i on zaczyna wreszcie spostrzegać, że myślał dotąd zbyt głośno, że niejedną uwagą mógł nadmiernie przerazić słuchaczkę swoją. Przecież jej na tem musi zależeć bardzo wiele, skoro przyszła aż tutaj, albo raczej podsłuchując to co on w urywanych słowach do siebie wypowiadał, doszła do takiego stanu, w jakim ją widzi teraz. Toż ta kobieta drży cała, wargi jej poruszają się automatycznie, gardło ścisnął jakiś przykry spazm, chciałaby cokolwiek odpowiedzieć, a nie może tego dokazać w żaden sposób, i tylko potakującym ruchem głowy daje do zrozumienia, że się zgadza na wszystko, co on robi. Rozumie teraz starzec, że się dał nadmiernie owładnąć wrażeniom własnym, niekontent jest z siebie, bo widzi wyraźnie jakie to zapomnienie się jego wywarło skutki. Ale to co ma przed sobą, silniejsze jest od niego, więc otwiera szafę, wydobywa z niej plik aktów, w których

panna Julia widzi listy wszywane, i te jakieś znów obok nich znaki zagadkowe, i pojedynczych części twarzy ludzkich kontury ołówkowe wraz z objaśnieniami. Ale to już wszystko zmienia się dla niej w tej chwili w jeden chaos, i takim byłoby dla każdego wogóle, któryby zbyt długo i ciekawie wsłuchiwał się tak i wpatrywał w dźwięki i obrazy zupełnie dla siebie niezrozumiałe.

Herman ogląda obydwa pisma, porównywa je z sobą gołem okiem i przy pomocy szkieł, mierzy kąty nachylenia, a po jakimś kwandransie może czasu rzuca się na krzesło, i znowu mimowoli i chęci wyrywa mu się z ust:

— Fotograficzna tożsamość. No!..

Ale i teraz nie przerywa Hermanowi interesantka pracy jego myśli, i jak się pokazuje słuszną jest jej powściągliwość, bo on znowu coś szeptać zaczyna do siebie:

— Gdyby to jednak zobaczyć jeszcze... i przerzucać zaczyna potem dopiski wszystkie książki i pokazuje się, że mu jednakże pozostała wątpliwość jakaś, bo zwraca się już do niej wprost:

— Wie pani, że bardzo radbym zobaczyć jedną literę, która wedle tego jak jest pisaną, ma u mnie swoje odrębne znaczenie i swoje właściwości, a tej litery jak gdyby na złość, niema nigdzie. Ta litera zdecydowałaby u mnie o jednej jeszcze wątpliwości, którą dotąd mam nierozwiązaną. Proszę sobie wystawić, że nie spotykam jej wcale na kartach tej książki, którą mi pani dać raczyłaś.

— Cóż to za litera?

— „W“ duże.

Panna Julia wychodzi ze swego odrętwienia, i nagle jak błysk przebiega jej przez myśl, że to właśnie jedyna chwila, w której odrazu dowie się wszystkiego. Dobywa też notatnik swój i drżącą ręką podaje Hermanowi wyjęty z niego list, w którym u spodu arkusza widnieje podpis „Wiktor A.“ Starca znowu reszta listu nie interesuje wcale; zatonął on całkiem w tej literze swojej.

Tym razem dla niej trwa to zbyt długo, bo zawisła myśl jej cała na tem przypuszczalnem rozstrzygnięciu, wobec którego stanęła nagle to też nie czekając na to, co on jej powie, chwyta sposobność

i postanawia skończyć. Co jej do tych wszystkich jego dociekań i do całej jego kabały? Alboż ona zresztą wie, co to wszystko ma za wartość? Ona po to jedno tu przyszła—tego jest ciekawa i o tem dowiedzieć się musi. Kładzie więc rękę na książce i liście, i pyta wprost:

— Pisał jeden i ten sam człowiek? Wszak tak?

Herman daje głową znak potwierdzający.

— I to jest pewne, niezbite, niewątpliwe?

— Jak to, że mamy w tej chwili dzień Boży.

— Racz pan uwierzyć w moją wdzięczność szczerą—mówi złamanym głosem, wstając z fotelu młoda kobieta — a oto wzamian za usługę, jaką mi wyświadczasz, chciej przyjąć... chciej przyjąć dla swoich biednych,—kończy pomięszana, na widok wrażenia, jakie wywiera na starcu propozycyą swoją.

— Daruje pani—odpowiada Herman z sarkatycznem skrzywieniem ust odsuwając jej rękę—ale tacy jak ja nie mają swoich biednych. Nie mogę przyjąć w ich

imieniu, a sam niezwykłem brać datków za przysługi imaginacyjne. Nie zrobiłem dla pani nic—nie powiedziałem nic.

— Owszem, to sprawdzenie tożsamości charakterów...

— Eh! O tem pani mówi! Tak błahą usługę oddałby pani pierwszy lepszy kaligraf-specyalista, czyli pierwszy lepszy rzemieślnik.

— A więc te badania, które pan robiłeś nad pismem pokrywającem marginesy książki?

— Co pani po tej wiadomości? Przedewszystkiem nie po to przyszłaś pani do mnie, jak się przekonywam teraz, a wreszcie wszak tego, czego byłaś ciekawą, dowiedziałaś się już — innemi słowy wiesz wszystko.

Panna Julia żegna tajemniczego człowieka odedrzwi, odwraca się jeszcze aby coś powiedzić, ale spostrzega na jego twarzy wyraz litościwego współczucia, który ją gniewa, i tym razem wychodzi, robiąc w duszy mocne postanowienie nieprzekroczenia nigdy tych progów, a ostatnią myśl swoją, odnośnie do tego czło-

wieka i jego wszystkich prób a doświadczeń przy niej robionych, streszcza sobie w wykrzykniku: „Szarlatan! Z największą pewnością szarlatan jakiś!“

Na dole dopiero spogląda na zegarek i ze zdumieniem spostrzega, że blizko trzy godziny spędziła na tem poddaszu. Nachmurzona jest wyraźnie piękna panna, bo ją zraził pod koniec chłód i rezerwa starca, a głównie to postawienie się z jego strony na stopie pewnej wyższości, do której ona w obcowaniu z ludźmi nie nawykła dotąd. Czuje się jakgdyby upokorzoną, a nieradaby wyznać przed sobą, że tak jest.

A ta reszta—ta reszta tajemnicza i taka zagadkowa—ta jego gmatwanina słów, której znaczenia ona nie domyśla się, te wykrzykniki jego...! A ona potokiem tych urywanych zdań, tych niepojętych wspomnień jakichś pozwoliła zburzyć sobie resztę spokoju ducha — owszem wsłuchiwała się w to, chwytała, jakgdyby ją kto przemocą przykuł do miejsca.

Ale jak mogła—jak mogła dopuścić do tego? Wszak ona przedewszystkiem nie po to wdrapała się na ten strych sta-

romiejski, żeby ktoś ośmielał się odgadywać jej myśli, wyprzedzać życzenia, pozwalać sobie na insynuacye?

— Sama winna jestem—mówi z gniewem do siebie p. Julia. — Zawsze gdy dojdę do czynu, bierną jestem i niezaradną jak dziecko. Trzeba było odrazu pokazać mu książkę i list, zapytać bez wstępów żadnych, czy to jest pismo jednej i tej samej ręki, a po jego odpowiedzi takiej lub innej, rzucić mu pieniądze za jego usługę i odejść sobie. A ja tak jakbym pensyonarką była, oczarowana, czy zahypnotyzowana, wpatrywałam się w tego astrologa i wsłuchiwałam w jego brednie, a może jego szalbierstwa.

Tu niby błysk przelotny przychodzi jej na myśl, że to może owocem podszeptów Hannibala była ta komedya cała, i dopiero uprzytomnienie sobie, że przecież ten biedak wcale nie wiedział o co tutaj chodzi, przedstawiło jej to przypuszczenie ostatnie jako bezpodstawne zupełnie.

Jak widzimy, bardziej była zaniepokojoną, niż jej się wydawało, i nie tak znowu mało domyślała się z wyników do-

chodzenia tego człowieka, jak usiłowała sama wmówić w siebie. Pod wpływem tych myśli, ani się spostrzegła jak przeszła ulicę Senatorską, Plac Teatralny i stanęła przed kratą Ogrodu Saskiego. Dzień był zimny, pochmurny, w ogrodzie pusto prawie zupełnie o tej godzinie, zapuściła się w jedną z ustronniejszych alei i usiadła na ławce, aby tę rozterkę duchową choć cokolwiek uspokoić.

Rozważa teraz z goryczą, jak to niekiedy najzwyczajniejszy pozornie krok wywołać może labirynt prawdziwy komplikacyj, i wpłynąć nawet na losy ludzkie w sposób prawdziwie niepojęty.

Od czego bo w gruncie rzeczy zaczęło się to wszystko?

Mówiono jej w towarzystwie o nowej książce jednego z głośnych belletrystów francuzkich, a mianowicie o jednej z drobnych prac jego, ukrytej w stosie pornografii jak perła wśród śmieci. Założenie i wynik sam utworu tak szczególnie przypadały do jej przekonań i tak wysławiane były przez czytających, że zamierzyła koniecznie poznać to, jak je nazywano powszechnie, małe arcydzieło. Zachodziły

jednak pewne przeszkody. O książkę, jako całość nie byłaby powiedziała najzaufańszej nawet znajomej, bo ten dział literatury nie istniał dla niej wcale. Posłać do swego księgarza z żądaniem, znaczyło tyle, co odebrać następnie rachunek z wyszczególnieniem tytułów i nazwisk autorów, a to nazwisko samo obrażało poczucie godności kobiecej wedle jej przekonania. Wybrała tedy drogę, która jej się wydała najkrótszą i najprostszą. Posłała służącą dawszy jej pieniądze na abonament w czytelni, dołączywszy tytuł żądanej książki i fikcyjne jakieś nazwisko abonentki. Przypadek zrządził, że w jednej z czytelni nowość ta znalazła się na półkach.

Pierwsze otwarcie książki zatrzymało oddech w piersiach zdziwionej p. Julii.

Wiele bardzo marginesów pokrywały dopiski ołówkowe, w których ona od jednego rzutu oka spostrzegła to pismo zbyt charakterystyczne i zbyt dobrze znane sobie, aby narazie zbudzić się mogła nawet jaka wątpliwość co do tego, czyjej ono jest ręki. Wątpliwości przyjść miały dopiero później.

Tymczasem przeczytała jedną z tych uwag i ruszyła ramionami, przeczytała drugą i czoło jej zachmurzyło się a usta wykrzywił niesmak z odcieniem pogardy połączony, przejrzała jeszcze kilka podobnych, a przekonawszy się, że wszystkie są w jednym i tym samym duchu. odrzuciła książkę. Dwa dni nie zajrzała do niej, i przez te dwa dni nie opuściła swego pokoju.

Teraz przypomina sobie na tej ławce samotnej ogrodu całą walkę, jaką ze sobą stoczyć musiała, przypomina i te słowa, wymówione głośno i z determinacyą: „Lepiej teraz jak później,“ po których ze szczególną zawziętością jakąś zabrała się do przestudyowania i druku, i pomieszczonych obok niego dopisków. Pamięta też wrażenie, jakie jej pozostało potem — pamięta, że uczuła się o dziesięć jakieś lat starszą, i po raz pierwszy dopiero pokłóconą z życiem naprawdę.

Tam, gdzie się autor dopisków harmonizował z autorem książki, był on tylko pospolitym, małym, ot takim sobie zwyczajnym człowieczyną, których setki całe przeczuwała dokoła siebie, ale na

których z wysokości nastroju swojego nie spoglądała nigdy. Co się zaś tyczy komentarzy, jakimi opatrzony był ten utwór, dla którego właśnie wzięła do ręki książkę, to były one dla niej stokroć przykrzejsze i niesłychanie utrudniały złagodzenie wyroku. Mniejsza czy wzlot autora książki był tam szczerym czy nieszczerym, mniejsza czy to był poryw ducha, czy kunszt artysty—uwagi tajemniczego czytelnika pozostawały tem samem, a ich cynizm wystawial temu, od kogo pochodziły, niezbite świadectwo deprawacyi jakiejś dziwacznej, właściwie jakiegoś zaniku pojęć podnioślejszej natury, o którego stopniu ona pojęcia nawet nie miała.

Któryż nareszcie z tych dwóch ludzi był prawdziwym? Czy ten którego znała, czy ten, który się tak nieopatrznie wyspowiadał w tych dopiskach swoich? A niepojęty przytem zupełnie był ów kaprys, pod wpływem którego wdał on się w tę studenckiej prawdziwie maniery pisaninę—tak jak niepojętym zbieg okoliczności, który jej włożył w rękę tę książkę. Z jednej strony wielka moc względów przemawiała przeciwko przypuszczeniu że

autorem dopisków, które niby corpus delicti leżą jej na oczach w tej chwili, był on; zachodziło oczywiste prawie, jej zdaniem, niepodobieństwo takiej hypotezy, bo... on po prostu nie był tym, od któregoby rzecz taka wyjść mogła.

Nie był, a tymczasem...

Jakaż tedy pozostawała jej droga wyświetlenia prawdy?

Jawna, szczera i prosta rozmowa z nim samym na cztery oczy?

Niemożebna! Zupełnie niemożebna! Ona przecież nie może mu powiedzieć, że tak jak on rozgrzebywała ten śmietnik, że zajrzała na dno tych mętów, że po zajrzeniu dopiero odwróciła się i pogardziła. Sam fakt zabłąkania się jej ducha w te sfery, samo zrozumienie znaczenia tego, co on szczegółowo objaśniał i komentował, ubliżałby jej wedle jej własnego mniemania w wysokim stopniu. Były i inne względy. Do dyskusyi dopuścić nie może, usprawiedliwień słuchać nie chce, w zgodę między niemi, jeśli tylko fakt jest faktem, nie wierzy i nie uwierzy nigdy, więc po co próby i po co wyjaśnienia.

A nakoniec... ona tego przed sobą nie przyznaje, ale ona się lęka oddziaływania jego w podobnej chwili. Ona zna tę dyalektykę subtelną, zna sofistykę tych argumentów jego, i dar przekonania, i siłę wpływu, i wreszcie to, na co się jej duma oburza w tej chwili najbardziej—zna słabość własną...

Jeśli tak jest istotnie, to jużciż drogi ich rozejść się muszą i rozejdą, bo znaczyłoby to, że ona pomyliła się w osobie, ale nastąpi to nie po wyjaśnieniach żadnych—na wyjaśnienia niema miejsca w tej sprawie z pewnością największą.

Tak ona rozumowała sobie wtedy, pamięta dobrze, a nawet niezdolna byłaby zapomnieć tego kiedykolwiek.

A tymczasem potrzebowała pewności matematycznej, że tak jest a nie inaczej. Zrazu wydało jej się, że do takiej pewności doprowadzi ją krótko i prosto sprawdzenie nazwisk w księgach czytelni. Jeśliby jego nazwisko znalazło się tam, jesliby się przekonała, że przed niedawnym czasem książka niewątpliwie była w jego ręku, jużciż dowód taki byłby dowodem zupełnym.

Wiemy jak się wzięła do tego śledztwa w czytelni, i z czem wyszła ztamtąd, wiemy co się działo przed godziną w izdebce starego Hermana, nie dziwmyż się stanowi jej umysłu w tej chwili, nie dziwmy się i temu, że się uważa za ofiarę prawdziwą fatalności, bo istotnie wypadek należał do wyjątkowych zupełnie.

To wszystko ona rozpamiętywa w tej chwili, uprzytomnia sobie, porządkuje niejako, ale jak z nią jest teraz — co ona obecnie o tem myśli, czego pragnie i czego się spodziewa—tego nie mogłaby powiedzieć sama.

Tej kontemplacyi jednakże nie można było w nieskończoność przedłużać w ogrodzie publicznym. Już paru pochłaniaczy serc kobiecych, z rodzaju tych, którzy o pewnych godzinach stale grasują w ogrodzie, przeszło obok tej ławki, rzucając spojrzenia, które im samym wydają się zapewne nie do odparcia, a w których trzy czwarte kobiet doczytuje się innych zgoła właściwości. Po takiem naprężeniu nerwowem przychodzi kolej na reakcyę, na osłabienie, na bezwład prawie zupełny.

Duch i ciało zarówno dopominały się o spoczynek.

Łatwo też wyobrazić sobie otuchę, jaka w nią wstąpiła po pierwszych słowach, wymienionych za powrotem zę służącym.

— Pan był na śniadaniu? pytał się o mnie?

— Pana odwieźliśmy z Jakóbem na kolej. Ja wracam w tej chwili.

— Co zaszło?

— Jakaś depesza z zagranicy — konsylium. Pan odebrał telegram na mieście i powrócił już do domu z pasportem w kieszeni. Zaledwie zdążył zjeść śniadanie; koni nawet nie kazał wyprzęgać. A jest tu i kartka dla pani.

To mówiąc podał jej kilka słów ołówkiem w języku francuzkim z pośpiechem wyraźnym nakreślonych. Była tam mowa o tem, kto wzywał pomocy doktora, o przypuszczalnym powrocie za dwa dni wraz z prośbą treściwą o pamięć i czuwanie nad sobą w myśl jego zleceń i wskazówek. Wszystkiego trzy wiersze jakieś.

Odetchnęła z głębi piersi. Widmo tej nieuniknionej zawsze rozmowy z ojcem,

które jej się ukazywało od czasu do czasu, przygniatało ją szczególnie. Te dwa dni, to niespodziewana ulga, to możność zejścia ludziom z oczu z troską swoją— to samotność upragniona tak gorąco, to rozejrzenie się w sytuacyi, a wreszcie może nawet i znalezienie w sobie siły do powzięcia postanowienia na przyszłość...

Jakiego postanowienia? Nawet nie odgadywała, jakiem ono będzie.

Rozpoczęła p. Julia od zapowiedzenia służbie, że niema jej dla nikogo bezwzględnie, aż do czasu powrotu ojca, a potem kiedy się znalazła sama pod wpływem tej ciszy kojącej, tego spokoju, którego nikt zamącić nie mógł, przyszło jej się przekonać, że wszystkie nasze wysiłki wielkie— wszystkie prace i heroizmy nawet, kończą się u ludzi śmiertelnych jednym i tym samym trybem, t. j. wypowiedzeniem ze strony ciała posłuszeństwa duchowi, który na czas jakiś naruszył równowagę przyrodzoną. Ranek dnia następnego zastał ją w tem samem miejscu z głową opartą na poduszce kanapy, tak jak była oparła wczoraj po powrocie z miasta.

Któż nie zna przypływów i odpływów tej fali potężnej, jaką jest dusza ludzka? Od zwątpień i rozpaczy, często przedwczesnej, przechodzimy do nadziei równie jak ta rozpacz nieuzasadnionej—od niechybnej prawie tuż pod stopami otwierającej się zagłady krok tylko jeden u człowieka do wszystkich możliwych miraży szczęścia i porywów optymistycznych. Wśród takich krańcowych przeciwności duchowych, przebyła ta kobieta całe prawie dwa dni, jakie jej los usłużny na wyłączną własność pozostawił. Nie było ewentualności, którejby nie przerobiła jej myśl, nie było usprawiedliwień i pobłażliwości z jednej, ani surowych sądów i odtrąceń z drugiej strony, w którychby nie widziała siebie na przyszłość w stosunku do tego człowieka. Były chwile, w których wydawało się jej, że najprostszym jej obowiązkiem była ofiara, a najszczytniejszem z zadań, jakie przypaść może kobiecie, podźwignienie upadającego czy upadłego. Momentami podnosiła ją egzaltacya duchowa tak wysoko, że i ten nawet ostatni wyraz wśród naprężenia nerwowego nie raził jej tragicznością swoją. Były godzi-

ny trzeźwości sądu, w których jako niepodobieństwo bezwarunkowe przedstawiało jej się przejście przez życie obok istoty niższej od siebie, w których na samą myśl podobną wstrząsało nią oburzenie i nienawiść.

A tu znikąd rady—znikąd i od nikogo. Ojciec własny nie był dla niej trybunałem w tym względzie. Opinja może, jaką miał ten człowiek? Oh! co do tego jednego nie miała p. Julia złudzeń żadnych, i to od dosyć dawnego już czasu. Mętów życia nie znała, bo znać nie chciała, ale o oportunizmie chwili, o kompromisach i pobłażliwościach opinii miała ona pojęcie zupełnie wyrobione i stałe. Tak jej zeszły dwa dni owe pamiętne.

Nie dziwmyż się, jakkolwiek rzecz ta pozornie dziwną wydawaćby się mogła niejednemu, że już w dzień naznaczony na przyjazd ojca znajdujemy ją raz jeszcze w samotni starego Hermana. Od dwóch godzin jest ona tutaj, od dwóch godzin musi się między tem dwojgiem ludzi toczyć spór jakiś, bo młoda kobieta ma gorączkowe na twarzy wypieki, a oczy jej uporczywie śledzą ruchy starca, który cho-

dzi nerwowo po pokoju, jakgdyby niepewny, niezdecydowany na spełnienie tego, czego od niego żądają.

— Nazywasz pani — mówi zatrzymując się nagle przed gościem swoim stary Herman—nazywasz pani to wszystko, co ci dotąd powiedziałem odnośnie do przedstawionego mi pisma, ogólnikiem. Jużciż naturalnem jest, że objaśnienie takie nie może wyjść do pewnego stopnia poza granice jakiegoś zarysu, jakiegoś konturu wewnętrznej istoty człowieka, aleź na miły Bóg, czego można żądać więcej w tej sprawie? Przecie ten, komu nieobcym jest mechanizm tak złożonej organizacyi duchowej jaką przedstawia człowiek, ten w tego rodzaju wskazówkach znaleźć powinien materyał dostateczny i podstawę do wnioskowań.

— Ha! pokazuje się, że są tacy, którym to nie starcza, a ja, przyznaję to, należę do ich liczby.

— Dlatego pewnie, że pani wnioskować nie chcesz, nie potrafisz, a może, i to jest podług mnie najprawdopodobniejszem, — może i nie śmiesz. Widzi pani, jestem otwarty, jak bywam w wyjątko-

wych tylko wypadkach. Przyszłaś pani dziś do mnie, i zarzekłszy mnie w imię względów, które są dla mnie prawem jedynem, jakie ja na świecie uznaję, żądałaś prawdy—dopominałaś się o szczerość. No, więc ja byłem szczery zupełnie, i powiedziałem prawdę—nie jakąś półprawdę, ale całą, bezwzględną—jedyną.

— Dlaczego nie miałabym śmieć? Wszak jestem tutaj? Jestem, pytam i proszę.

— Dla tego, że wogóle odpychamy do ostatniej granicy możebności nietylko przypuszczenia ujemne, ale i prawdy niezbite, gdy te są dla nas niepomyślne, przykre, a cóż dopiero bolesne.

— A gdybyś pan raz jeszcze chciał mi dopomódz do uporządkowania tego w pewien ład, system, tak abym i ja przestała się błąkać...

— Spróbuję, ale z góry uprzedzam, że to panią niewiele nauczy, jeśli wogóle lękasz się być nauczoną. Będę chciał jednak być dostępniejszym niż dotąd. Dałem pani po zbadaniu szczegółowem pisma takie rysy główne charakteru osoby, do której to pismo należy: Wielka rozwa-

ga i trafność sądu, wyjątkowy dar spostrzegawczy, stanowczość i determinacyą w postanowieniu, prawie że zupełny niedostatek uczuć, bezgraniczne panowanie nad sobą. Wszak to wszystko powiedziałem pani?

— Tak jest, to wszystko słyszałam i pamiętam.

— I tego pani mało?

— Tak jest, z tego ja całości człowieka pańskiego złożyć sobie jeszcze nie mogę, zwłaszcza gdy ta całość przedstawia się panu tak szczególnie ujemnie.

— W takim razie pomyliłem się widać. Pani nietylko nie śmiesz, ale i nie potrafisz, a mnie to szczególnie zadziwia u osoby tego stopnia rozwoju umysłowego, co pani—chociaż z drugiej strony, kobiety z syntezą w psychologii wogóle radzą sobie źle. Odgadnąć potrafią często, ale dostarcz im tylko danych pozytywnych, połóż przed niemi kolumy całe cyfr, nigdy prawie nie zdołają ich pogrupować, nigdy nie będą wiedziały przed czem położyć znak + a przed czem —. Ich dodawanie i odejmowanie do niczego nie

doprowadza, bo doprowadzić nie może. I z panią tutaj, wybacz mi szczerość moją, zupełnie tak samo. Najpierw nie bierzesz przedewszystkiem w rachunek tego, że człowiek musi być koniecznie sądzony na tle swojej epoki, swego otoczenia, a nadewszystko na tle tych warunków bytu, do których przykuły go losy. Ziarnu potrzeba gleby, pory roku i uprawy, a dusza ludzka miałaby niepodlegać wpływowowi tych czynników. Niema podobnego rozdźwięku między światem materyi i ducha. Stworzenie to doskonałość—to harmonia! Trzeba tylko umieć patrzeć, a analogia tych dwóch światów ukaże nam się w całej pełni swojej, przy każdem ich ze sobą zestawieniu.

— A gdybym panu powiedziała, że jeszcze i teraz pana nie pojmuję.

— Wiem—nie potrzebujesz mi tego pani mówić. Mam jednak nadzieję, że za chwilę jaśniejszym będę dla pani. Posłuchaj tylko uważnie.

— Ten grunt, po którym stąpasz pani codzienie, to bujny grunt niesłychanie. Rodził on niegdyś wielkie charaktery, dawał wielkie cnoty i bohaterstwa bezprzy-

kładne nieledwie. Grunt został ten sam, pierwiastki dusz ludzkich dotąd jeszcze unoszą się w atmosferze te co były ongi, ale czynniki wzrostu i rozwoju ich wcale nie te co były niegdyś. Bogatego nasienia móc tu nieprzebrana, ale z tem nasieniem, z tem ziarnem, duch czasu robi co jego wola, a wola jego wszechwładną jest niemal. Daj nasieniu dębu światło, przestrzeń, i otoczenie, a strzeli ci ku niebiosom i stworzy zczasem potęgę ku podziwowi oczu ludzkich; nagnij go od pierwszego roku, przytłumij rozrost, pokrzywi ci się w tysiączne węzły niekształtne, potworzy naróśla i garby, od których odwrócisz się przechodząc, i zaledwie uwierzyć będziesz mogła, że ten karzeł, ta karykatura dębem być miała i w dąb—olbrzym wyrosnąć mogła. To co powiedziałem dotąd, to wstęp tylko, ale wstęp konieczny dla pani, abyś nietylko zrozumiała to, co usłyszysz dalej, ale nadto, abyś uwierzyła, że inaczej jak jest, być nie może. Na tym fundamencie oprzeć się musi u nas badanie charakterów. Chciej-że z łaski swojej być uważną.

Nie robię różnic między właściwościami duchowego ustroju, odziedziczonemi a urobionemi przez warunki i wpływy, bo mi to niepotrzebne do niczego—owszem, biorę człowieka takiego, jaki jest, jaki się urobił, dzięki wpływom. Powiedziałem pani wyraźnie: dana jednostka, dany osobnik, daje się streścić tak: bystrość umysłu niepospolita, stanowczość, determinacya, nieograniczone panowanie nad sobą. To wszystko uznałem, zaznaczyłem, podkreśliłem, ale na tem nie skończyłem bynajmniej. Pani przy tych wszystkich atrybutach pokładłaś sobie znak +, bo ich znaczenie jest istotnie dodatniem, i dla mnie byłoby także dodatniem, gdybym nie był obok nich umieścił jednej jeszcze cechy, która ma to do siebie, że wszystkie tamte znaki plusów przemienia odrazu w minusy niezaprzeczalne. Nie patrz pani tak zdziwionemi oczyma, bo to jest tak jak ja mówię. Powiedziałem przytem o zupełnym braku uczuć. Wszak prawda? No chciejże pani rozważyć, czem będzie tamto wszystko razem wzięte na tem tla— na tej podstawie — na tem podścielisku. Dary umysłu poszukać sobie tam musiały,

jeszcze przed dojrzeniem, swojej drogi osobnej, stanowczość i determinacya dopomogły z pewnością tylko do odrzucenia względów i skrupułów, a wielkie panowanie nad sobą zamiast stworzyć znakomitego człowieka a może bohatera, poszło na usługi najniższego z instynktów, mianowicie instynktu ukrycia przed okiem ludzkiem mroków własnego ducha.

Mnie ta całość rzuciła się do oczu odrazu, i dla tego z takiem wyjątkowem przejęciem wziąłem się do badania szczegółów. To badanie wykazało mi raz jeszcze doskonałość, że nie powiem—niepomylność metody—to badanie dało mi po podsumowaniu cyfr ten sam znak mniej, który wyćwiczone długoletnią pracą, oko moje spostrzegło od pierwszego momentu.

— Posłuchajże mnie pan nawzajem. Ja długo mówić nie będę, ale to co powiem powinnoby może znaleźć u pana uwzględnienie pewne. Doskonałość rozumowania pańskiego oceniam, logice wywodów nie przeczę wcale, tembardziej gdy ich wynik ostateczny odpowiada, nie powiem moim własnym spostrzeżeniom, ale moim trwogom serdecznym i przeczu-

ciom upornym, które mnie od dość dawna ścigają. Przyłączył się tu traf czy fatalizm, który mi rzucił w duszę ten cierń podejrzeń pod postacią pisma na szpaltach książki, a potem przyszło drugie niepojęte prawdziwie zrządzenie Opatrzności, sprowadzające mnie tutaj—mnie nieświadomą do pana, który mi wydajesz się posiadaczem tajników prawdy niezbadanej przez nikogo dotąd. Ja chcę uwierzyć w tę prawdę, a ja dotąd, wybacz mi Pan, widzę tylko rezultat trafnego rozumowania, ale to jest rozumowanie jedynie, a tam u Pana musi być coś, czego nie wie reszta ludzi, coś takiego, czego tysiące szukały daremnie, a pan jeden znalazłeś tylko. Wszak jest coś takiego, powiedz mi pan?

— Jest.

— Zróbże pan tak, abym ja musiała uwierzyć, że to nie dar odgadywania, że to coś wyższego, potężniejszego, że to... no, jednem słowem, że to wiedza...

— Przeczuwałem, że na tem skończyć się musi. Wszystkie moje zetknięcia się z ludźmi i wszystkie moje objaśnienia, jakie im dawałem, zawsze kończyły

się tem żądaniem: „Uwierzę, ale mi pokaż.“ Nie powiem pani, żebym się komukolwiek z żyjących do dna wyspowiadał z tem, co mi dały moje wielkie pragnienia, moje noce bezsenne i moje lata całe głodu, nędzy a zapomnienia, bo to byłoby dla mnie niemożebnem. Byli tacy jednakże, którym uchyliłem tyle zasłony, aby się przekonali przynajmniej, że nie mistyfikatorowi, jakich jest tysiące, powierzyli swoją troskę, czy swoje cierpienia serdeczne. Pani jesteś ostatnią z takich, i pani powiem, a raczej pokażę nawet więcej niż innym. Reszta—po mojej śmierci! Ot tu, patrzaj pani, w tych dwóch szafach, które ci otwieram, mieści się praca trzydziestu kilku lat życia jednego człowieka. Od takiego elementarza jak grafologia, aż do spostrzeżeń hiromantów, od Galla i jego następców aż do wyniku pomiarów antropometrycznych naszych czasów, starałem się zużytkować wszystko, zanim się wziąłem do zbudowania gmachu z własnych spostrzeżeń. Szło mi zawsze o tę zagadkową całość, którą zwą człowiekiem, a przedewszystkiem o jednolitość i harmonię jej części składowych.

Ta harmonia istnieje i przejawia się tak dobrze w fizyognomii twarzy, jak w intonacyi głosu, jak w objawach wszelkich, i zanotuj to sobie pani, we wszelkich funkcyach życia codziennego. Umysł oschły, wyrachowany, pozytywny, nie będzie prowadził człowieka temi drogami, któremi kroczą charaktery szczere, entuzyastyczne, wylane. Człowiek czysty, bezinteresowny, szlachetny, nie tak mówi, nie tak się śmieje, nie tak się bawi, nie tak pracuje i pisze jak brudas jakiś, szachraj pospolity, jak nizkie jakieś indywiduum jednem słowem. Z tych pojedynczych części składowych urabia tedy życie całość człowieka, ale idzie o to, że i te składniki pasować muszą do siebie ilościowo i jakościowo, a jedne się będą dopełniać wzajemnie, inne wzajemnie wykluczać, a inne jeszcze zmusza prawo harmonii do ustępstw wzajemnych. Otóż pochwycenie tego kwantitatiwnego stosunku, możebność rozczłonkowania całości na cząstki, a co ważniejsza odbudowanie z jednego składnika czy z jednej funkcyi owej całości—oto założenie, jakie sobie zrobilem ja. Nie mogę powiedzieć,

abym dokonał wszystkiego, ale nie wolno mi też mówić, że życie moje było bezpłodnem. Wierzaj mi pani — w każdym razie, o tem co mieszczą te dwie szafy, dłużej ludzie mówić będą niż o dowcipnym wywodzie Cuviera.

A teraz przystąpmy do rzeczy:

Zacznę od najogólniej pojętego szkicu—od wyrazu—od tego, co z rysów człowieka najpierw spostrzegacza uderzyć może.“

To mówiąc usiadł przy drugim stole, przymknął oczy, i po jakichś paru minutach wielkiego skupienia się w sobie, pochwycił ołówek i nakreślił kilka linij, których znaczenia zdawała się nie odgadywać wcale młoda kobieta. Przyznać należy nawet, że zaciekawienie jej w tej chwili ustąpiło zamyśleniu jakiemuś, może nieufności — może zniechęceniu. Trudno wreszcie pochwycić ten proces wrażeń, z których jedno ruguje drugie, aby następnie ustąpić miejsca innemu jeszcze, równie jak tamto niespodzianemu. Za to przyznać możemy, że przebudzenie się jej do świadomości, że przywołanie samo

miało siłę uderzenia potężnego prądu elektrycznego.

— Czy dalekim jestem od prawdy?— zapytał nagle stary Herman, rzucając przed nią mały arkusz bristolu, na którym umiejętną ręką naszkicowany był profil męzki, rzutami grubymi kreślony, ale tak pewny, tak śmiały i zdecydowany, jakgdyby był odbiciem długo w pamięci przechowywanych rysów twarzy. Wpatrzyła się w te kilka linii ołówka, następnie zwróciła oczy zdumione na starca, potem znowu na ten papier tajemniczy, ale żaden dźwięk mowy, ani żaden nawet gest potakujący, ani zaprzeczenie żadne z ust jej nie wyszło. On ją zapytał raz jeszcze, ale nie odbierając odpowiedzi, przeniósł arkusz papieru na stalugi i nie zwracając już na nią uwagi, tak jak gdyby jej w tym pokoju wcale nie było, monologował dalej, każde swoich kilka lub kilkanaście słów uzupełniając dodaniem kilku linii na tym szkicu, który tym sposobem wykończał z biegłością prawdziwego mistrza.

— Oto cecha wybitna tej stanowczości, w rozwinięciu szczęki dolnej, która

w danym wypadku inaczej jak taką właśnie krzywizną charakterystyczną odznaczać się nie może.

— Odpowiadać też musi zaciśnięcie kątów ust i wykrój warg, a nadewszystko znamienna różnica między wargą spodnią a wierzchnią.

— Tak jest; inaczej być nie może. Wystudyować inny zarys ust przez długą a mozolną kulturę możnaby, ale to nie będzie natura... natura—stosunek, to jest to właśnie...

— Nos pozostawimy takim jakim jest, tembardziej, że mieści się już w nim i charakter jego, nietylko ewentualnej, ale nadzwyczaj prawdopodobnej, ruchliwości. W tym nosie nie mam nic do poprawienia, i za niego może poręczyłbym najsilniej.

— Oprawa oka wynika tu sama z siebie, ale wyrazu oka nie podejmuję się oddać dopóki nie będę miał całości. Ach tak! potrzeba mi wprzód tamtego... koniecznie... koniecznie.

— Za to, ucho można śmiało i bezpiecznie narysować całe, to ładne ucho, naturalnie z punktu widzenia sztuki, ucho

typowe... nieocenione. Możnaby o niem ze dwa tomy napisać.

— A teraz kopuła na tej budowie! Tak, to jest kopuła — siedlisko myśli, świadectwo wnętrza najniezawodniejsze z niezawodnych... O mądrości ludów! — mówił szeptem do siebie, ty nic darmo nie tworzysz, i wszystko najlepiej nazywasz—i tego też terminu: czoło bezwstydne „nie stworzyłaś także napróżno...

A, więc jest i całość!.. całość tego, mówiąc językiem salonów, ładnego chłopca, a gdyby przyszło wyrazić dno mego przekonania—tego...

Tu urwał nagle, bo znowu, opamiętał się, że jest słuchanym przez kogoś interesowanego, a natomiast pragnąc zapytać się raz jeszcze: Jakże myślisz pani? odwrócił się szybko, ale szybciej jeszcze skoczył po stojącą w pobliżu karafkę z wodą, i bryznął nią na twarz młodej kobiety, która zdradzała nietylko brak zupełny świadomości, ale i zimną nieruchomość marmuru.

Wrażenie okazało się widać zbyt silnem.

W kilka miesięcy później znajdujemy pannę Julię w godzinie obiadowej w tym samym, co przy pierwszem poznaniu się z nią, pokoju stołowym obok ojca. Obiad kończy się, a przychodzi pora na pogawędkę swobodną, którą prowadzić zwykł doktór dla dygestyi przez jakieś parę kwandransów! Obfitego materyału dostarczają mu zwykle przedpołudniowe wizyty lekarskie i nowinki ze świata poważniejszej barwy. Dzisiaj bardziej jakoś zamyślony jest dr. L. Ma coś do powiedzenia, a widać waha się, czy nielepiej byłoby zatrzymać to przy sobie. W końcu rusza ramionami i zwraca się do córki:

— Wezwali mnie też dzisiaj młodzi lekarze do szpitala, aby zasięgnąć mego zdania w dosyć skomplikowanym przypadku, ale mniejsza o niego. O parę łóżek był tam inny chory, a właściwie mówiąc nie chory, ale dogorywający. Widać powiedziano mu moje nazwisko, bo prosił, abym do niego podszedł. Głowa Seneki, czy Hoene-Wrońskiego — bardzo, bardzo charakterystyczna głowa. Mówiono mi nazwisko: Bormam, Herman—niepamiętam.

— Co chciał — co mówił?..—zawołała z okrzykiem niepokoju i płomieniem wzruszenia na twarzy p. Julia.

— Właściwie nic—prosił cię o modlitwę za jego duszę.

— I nic więcej?

— Dla ciebie nic. Mówiono mi tam w szpitalu o jakiejś tragicznej historyi—jakiemś, pod nieobecność jego w domu, spłonięciu papierów, do których przywiązywał wielką wagę. Potem miał niby wpaść starzec w melancholią, no, a teraz, to taki zwyczajny już marasm starczy. Ot i wszystko.

Panna Julia wstała szybko od stołu zaledwie pożegnawszy ojca, a w godzinę potem była już w szpitalu. Przyszła jednak o parę godzin zapóźno. Starzec nie żył. Była i na Starem Mieście, a tam potwierdzono jej historyą o spalonych przypadkiem rękopisach. Jedyną tedy pamiątką jaka jej pozostała po tym cieniu, który się przemknął przez jej życie, niby meteor potężny, była ta głowa młodego człowie-

ka szczerze niegdyś przez nią kochanego; ale ktoby tam z ludzi uwierzył w okoliczności powstania tego rysunku, czy tego portretu?

Ona uwierzyła, bo musiała uwierzyć.

JEDEN Z GALERYI HARPAGONÓW.

Starzy tylko u nas ludzie mogliby przypomnieć sobie człowieka, o którym w tej chwili słów kilka powiedzieć chcemy. Gdy ci, którzy są dzisiaj w sile wieku, wchodzili w życie, jego już od lat kilku do grobu złożono.

Znała go z widzenia jedna ze starych dzielnic Warszawy, w której od lat trzydziestu z górą nieprzerwanie przemieszkiwał—mówimy: z widzenia, bo oprócz tego, że wegetował w ciasnej izdebce brudnej oficyny po nad nieopalanym nigdy magazynem starych gratów położonej—że zimą chadzał w jednej zawsze, wyszarzanej cieplejszej kapocie, a letnią porą ten strój niewyszukany krojem, na lżejszy nieco zamieniał, że wreszcie, jak dobrze uregulowany zegarek, mógł on oznajmiać sąsiadom, kiedy nadchodziła godzina primaryi

w farnym kościele, której nie opuszczał nigdy—oprocz tego wszystkiego, nie wiele więcej o nim wiedziano.

Przez jakiś czas po osiedleniu się tutaj budził nieco ciekawości, później oswajano się z nim stopniowo, a że nietylko nie szukał stosunków z ludźmi, ale ich nawet bardzo wyraźnie unikał, dano mu pokój, tem łatwiej, że sobie i przychylności ludzkiej pozyskać nie potrafił. Nie lubiliśmy i nie lubimy dotąd zagadek; odludek nie budzi u nas nigdy interesu, a tutaj nadto zachodziły jeszcze względy, które obojętność pierwotną w jawną prawie zamieniły niechęć.

Sam bo winien był sobie starowina istotnie. Lud nasz wogóle nie pojmuje takiego stopnia ubóztwa, w którymby się człowiek z biedniejszym od siebie, od czasu przynajmniej do czasu, groszem jakimś podzielić nie mógł, a tu jak gdyby na przekorę, staruszek w długim tabaczkowym surducie tak wytrwale bronił się wszelkim napaściom ulicznego żebractwa, że nareszcie wyróżnił się tem z pomiędzy wszystkich starych i młodych, możnych i ubogich, dobroczynnych i skąpców na-

wet, dzielnicy całej. Byli tacy, którzy dawali ostentacyjnie, to jest wtedy, gdy na nich zwrócone były oczy ludzkie, inni dzielili się groszem, dzięki popędom wewnętrznym—jedni byli hojniejsi, inni bardziej wyrachowani, ale ten nie dawał nigdy, jak gdyby z zasady, tak że go już sobie żebractwo miejscowe jako znany nieużytek tradycyjnie przekazywało.

Od żebractwa transpirowała fama do kumoszek, ztamtąd do tak zwanego miałkiego narodu, a i sam piszący to wspomnienie, gdy mu w pewnej wyjątkowej sprawie, o zagadkowym staruszku wiadomości zasięgnąć przyszło, takie o właściwościach jego charakteru, od wielce wymownego stróża kamienicy, a swego pod one czasy konfidenta, otrzymał informacye.

„Różne też tu były, choćby i w tej kamienicy naprzykład, lokatory, ale takiego jak ten, jak jestem człek w latach, jeszcze oczy moje nie oglądały. Ani żony, ani dziecka u starego kutwy, a żeby ci widział, jak dusza chrześciańska bez głód z ciała uciekać myśli, toby i tak do kalety nie sięgnął. Nie trzeba oto panisku

mówić, że tam, gdzie na to mówiący targowa dziura, niby jak tutaj, to się od rozmaitego biedactwa roić musi, no i przecie widzą oczy, jak taka służąca na ten przykład jedna i druga użali się kalectwu i chorobie, a ten stary—nigdy. Oho! nie taki on. Żeby trafunkiem—żeby bez pomyłkę—nie! A wiadomo, że ciasno kole starego nie jest, i że go reguralnie na każdego pierwszego dochodzi co mu się należy, i żeby tem trzech uczciwych ludzi można obdzielić, a jeszczeby każdy Bogu Wszechmogącemu do śmierci miał za co dziękować. Zrazu myśleli ludzie, że on głuchy—ale! Słyszy jak wypada—co nie ma słyszeć. Raz, to już mówiłem sobie, że i jego zmoże chyba ludzka bieda, i że mu się na żałość zbierze. Dziewczynina mizerota, choć zaraz do trumny włożyć, naprzykrzała mu się bez dwie ulice; stawał, przyglądał się, skrobał w głowę—już, już, mówiłem, że włoży rękę do kieszeni. Nie! dyabeł nie dał widać. Taka to już u drugiego człowieka, na to mówiący, zatwardziałość na wnętrzu. Moja to się tam nad nim miłosierdziuje, ale ktoby słuchał co baba prawi, toby mą-

dry był. Powiada, że on jakiś dziwaczny chyba być musi, ale żeby taki miał być twardy jak ludzie myślą—to nie.

„Ale niech tam już wielmożny pan zostawi go lepiej w spokojności, bo raz żeby to było na nic—i to tak pewno jak dzisiaj świętą niedzielę mamy, a nawet to i gwoli przezpieczeństwa zupełnie pewne nie jest, bo kat jego wyrozumie kto on zacz i co ma w myśli, a tu w takim jenteresie to lepiej na zimne dmuchnąć, jak za gorące złapać.“

Usłuchałem mego przyjaciela Rafała; jegomości w tabaczkowym surducie pozostawiłem molochowi, a wkrótce też i on, i Rafał poczciwy, i stara kamienica, i Warszawa, na długie, długie czasy znikły mi z oczu.

Gdy po latach znów się na tym starym, poczciwym bruku warszawskim znalazłem, wyobrazić sobie może każdy ździwienie moje, kiedy w człowieku, który kufer mój podróżny przed bramą skromnego hotelu z dorożki zdejmował, poznałem starego, poczciwego Rafała ze staromiejskiej dzielnicy. Posiwiał, przygarbił się, ociężał, ale jednego rzutu oka star-

czyło mi, aby poznać, że to on—nie kto inny. Uradowałem się szczerze, a nawet o ile sobie przypominam, miałem to za jakąś szczególnie dobrą wróżbę, gdy mnie ta szczera prostacza dusza pierwsza po powrocie powitała tutaj.

Było też to i powitanie, że i od kogoś z rodziny najbliższej przyjaźniejszego trudnoby się spodziewać. I on, i stara kobiecina przychodzili potem do mojego pokoiku ile razy pewni byli, że nikogo u mnie nie zastaną, a wypytywaniom o dolę moją i użaleniom końca nie było. Stary mianowicie w tych rozmowach naszych ustawicznie powracał, do czasów mojej poprzedniej w Warszawie bytności; to był jego temat niewyczerpany, jak gdyby mu najlepszą część życia te lata zabrały. A nie tak było wistocie, bo Rafał był co się zowie bywalcem, i wszelkiego rodzaju wspomnień przy swoich kończących się siedmiu krzyżykach dźwigał ciężar nie lada.

W jednej z takich właśnie pogadanek przyszedł mi na myśl staruszek w tabaczkowym surducie. Zapytałem czy żyje jeszcze, co się z nim robi, ale widziałem

że te pytania jego surowego niegdyś sędziego w pewien kłopot wprowadzają. Mimo to ponowiłem indagacyą.

— Pomarł, wielmożny panie—pomarł. I roku nawet nie przeżył potem, jak wielmożny pan od nas odjechał. Jakoś ci się tak do niego coś przyplątało w te czasy, no i niby zamizerowała się biedota.

— Cośeście Rafale, na niego nie tacy zawzięci jak w one czasy?

— A bo to człowiek wie czego się trzymać, kiedy oczy widzą co innego, a baba na ten przykład w uszy kładzie co innego. Tak też i tu. Ja to tam trochę już i sam przestałem niby mruczeć na niego, bo on się nad wielmożnym panem chociażby okrutnie rozżalił, i potem ciągle pytał, dopóki żył tylko, więc niby pomyślałem sobie: Niechże cię tam Bóg sądzi—możeś ty i nie taki jak się zdajesz. No i nie był ci chyba naprawdę taki ostatni, ale od tego znowu do tego co ona sobie—niby ta moja kobieta—do niego uwidziała, to jeszcze chyba daleko.

— A cóż ona powiada?

— Ona powiada, że to był święty człowiek. Była na to mówiący i przy

jego śmierci i teraz każdej niedzieli na Powązki się włóczy, a w rocznicę to i na Mszę Świętą daje u Św. Jana. Zwyczajnie jak baba. Zabrała tam po nim garstkę papierzysków jakichś i dotknąć się do tego nie da nikomu, jak do jakich relikwij. Ona gada, że jak ludzie do tego zajrzą kiedy, to się pokaże kto on był.

— A czy przeczytała sama?

— Kiedy ona pisanego nie może. Na książce to się modli zawdy.

— A i zkądże jej to przyszło?

— A no widzi wielmożny pan—taka była bez całe życie. Jak się jej co uczepiło, to z nią ani dobrością, ani gniewem. Ona tu z pewnością te rupiecie przyniesie kiedy, to niech jej też wielmożny pan powie, że z przeproszeniem głupia a stara, bo mnie to już się i naprzykrzyło.

Przyniosła w samej rzeczy różnych książeczek kilkanaście, w których oprócz cyfr ręką jakiegoś starego porządnickiego systematycznie zapisywanych, nic więcej nie było. Obok tego ze trzydzieści kwitów pocztowych na różne kwoty pieniężne, corocznie o jesiennej porze wysyłane. Przejrzałem, zamknąłem i gotów

byłem w pokorze przyznać się przed starą Rafałową, że się i ja na tem nie poznałem, aby jej pamięci staruszka nie naruszyć, bo już to wogóle nie lubiłem i nie lubię dotąd psuć komuś jego illuzyj.

Wszechmocny traf wmieszał się w tę sprawę i prawdziwie cudownym sposobem pozwolił rzucić na postać zmarłego staruszka nowe zupełnie światło.

Leżało to jeszcze u mnie na stole, kiedy pewnego dnia dowiedziawszy się o mojej w Warszawie bytności, przyszedł mnie odwiedzić stary mój profesor gimnazyalny.

Umiałem jak należy ocenić tę jego troskliwość serdeczną, bo to szanowny i głośny nawet był powszechnie ów nieoceniony przyjaciel młodzieży, o którym każdy z dzieciaków szkolnych wiedział, że się groszem swoim z ubogimi malcami dzielił; że książki kupował, mundury sprawiał, wpisy płacił, a smutny i chmurny wtedy stawał się tylko, kiedy już w kieszeni płótno było czyste.

Rozrzewnił się i rozgadał stary poczciwiec, utyskiwał na brak środków kształcenia między młodzieżą, na to także, że

obojętnieją ludzie dla tej sprawy, a mówiąc przerzucał machinalnie ręką kartki tych książeczek. Ale nagle zamilkł, zaczął się zamyślać, pocierał łysinę, rzucając mi zagadkowe spojrzenia, a ja zdumiałem się, bo bez powodu rozgorączkowany był formalnie. W końcu zwrócił się do mnie wprost zapytując:

— Zkąd ty to masz?

Opowiedziałem jak się rzecz miała, z najdrobniejszymi szczegółami. Chodził po pokoju zamyślony, gestykulował, wymawiał od czasu do czasu słowa bez związku, a wreszcie przemówił krótko:

— Pozwolisz mi tego pakietu do domu?

— Dlaczego nie, byle profesor szanowny zwrócił, bo właścicielka przywiązuje do tego wagę niezmierną.

— Bądź spokojny, oddam ci — będę za dni parę—może jutro,—rzucił mi już we drzwiach i wyszedł.

Zdziwiło mnie to bardzo, ale w mojem życiu dziwowisk rozmaitych niezmiernie było wiele, więc do wieczora wrażenie minęło. Bardziej zdumiony byłem nazajutrz ranną wizytą profesora mego,

który zastawszy mnie w łóżku, nie czekał aż wstanę, ale usiadłszy przy mnie, zaczął odrazu mówić z wielkiem przejęciem:

— Traf chciał, żebym u ciebie znalazł znaczenie trzydziestoletniej blizko zagadki. Wyście wiedzieli, że ja tam temu i owemu czasem dopomogłem, ale jabym tak szafować był nie potrafił, bo moje środki były bardzo ograniczone. Co rok—wystaw sobie, co rok, najregularniej ku końcowi wakacyj przychodziła mi pomoc bezimienna, i to mi dopiero trochę rozwiązywało ręce. Biedziłem się, odgadywałem, dochodziłem, od kogo — wszystko na nic. Jeden list był z Piaseczna, drugi z Płońska, trzeci zkądciś tam, a zawsze jedna i ta sama ręka. Patrzaj, są tu one wszystkie, bo zbieg okoliczności chciał, że i ja zbierałem to skrupulatnie. Pismo to samo, a co ważniejsza daty i kwoty pieniężne te same. Skradał się biedak jak złoczyńca, żeby go kto nie poznał przypadkiem. A zajrzyj no tu, proszę. do tych budżetów biednego emeryta. Toż tu cała psychologia człowieka. Patrzaj jak on to jedne pozycye

przekreślał a drugie obok nich stawiał, a zawsze coraz wyższe, jak gdyby sobie ujmował po kęsie chleba i po jednem drewku od pieca. Rozważ, co trzymać mógł taki biedak o potrzebie oświaty, który się dla idei swojej tak dręczyć umiał—rozważ i to proszę, kim są ci, którzy to wszystko ignorują... ale co tam!—o tem nie mówmy już, bo to budzi złe instynkta, a chwila doprawdy nie po temu.

I data śmierci wyziera tu sama przez się dodał mój stary nauczyciel. Umarł w 1865 roku, a tu patrzaj ostatni list z 1864 roku. Odtąd ustają przesyłki.

— Cóż ty na to?—zapytał w końcu.

Co tu było powiedzieć? tu fakta mówiły same. Opowiedziałem już tylko o sporze między starym Rafałem i jego żoną, i posłałem po tego ostatniego, aby zabrał pamiątki, i oddał je tej, która nie wiedząc, przeczuła ich istotną wartość.

— Myliłeś się, stary, powiedział do niego profesor, wręczając mu z powagą papiery.—Twoja żona lepiej odgadła człowieka, jak ty.

— Wielmożny panie! niech panowie gniewni nie będą, ale to wstyd powtarzać, tłómaczył, nie rozumiejąc o co chodzi. Jakże—kiedy ona takie rzeczy paplała co ni przypiąć, ni przyłatać. To nieraz jak się zacietrzewi, to woła:

— A ja ci powiadam stary niedowiarku, że on do Pana Boga mówił, i Pan Bóg do niego mówił. Ty się też włóczęgo zrozumiałbyś na tem..!

— Miała słuszność—powiedział w tonie zupełnego przekonania profesor—miała zupełną słuszność—możesz jej to od nas powiedzieć. Ten człowiek rozmawiał z Bogiem z pewnością.

* * *

Na krótko przed ostatecznym terminem opłacania szkolnych wpisów tegorocznych dajemy czytelnikom sylwetkę jednego ze skąpców naszych, zapewniając, że jest autentyczna.

S P O K O J N A

Sylwetka z natury.

Byłaby miała w życiu i do ludzi szczęście, gdyby...

To „gdyby" w kilku słowach zamknąć się nie da.

Stara niańka, na której ręku zeszły jej pierwsze lata życia, mówiła, że to anioł nie dziecko, ale też na tym, bez ograniczenia pochlebnym sądzie prostej kobiety wiejskiej, poprzestać musiała do końca dni swoich.

Późniejsze opinje i oceny jej osoby miały zawsze przy sobie zastrzeżenia i znaki zapytania, i owo „gdyby" nieszczęśliwe.

Pierwsza nauczycielka powiedziała matce, że dziecko jest dobre, względnie łagodne, i bardzo pojętne, ale zbyt wiele chce się dowiedzieć naraz, pytania zadaje szczególnie ambarasujące, i ma jakiś swój

wyłączny sposób wnioskowania. Szukając jak najtrafniejszej definicyi dla odmalowania tej indywidualności dziecięcej, wyjąkała wreszcie określenie, które się jej wydało najwłaściwszem:

— Wszystko byłoby dobrze, gdyby... miała więcej... spokoju.

Otóż chciały mieć losy, że pozostał jej ten zarzut na resztę życia.

Kiedy doszła do kilkunastu lat wieku oddano ją na pensyę. Zwróciła tam odrazu na siebie uwagę i nauczycieli, i przełożonej, i towarzyszek, zyskała nawet przychylność i życzliwość ludzką, ale z tem wszystkiem patrzano na nią, jako na coś, do pewnego stopnia, anormalnego.

Bo i dla czego taka była odmienna od reszty? Dlaczego?

Od nauczyciela rysunków poczynając, na udzielającym historyi skończywszy, wszyscy prawie mówili jedno i to samo.

Jej rysunek z natury byłby może i dobry, gdyby... gdyby nie był taki jakiś nerwowy—grę na fortepianie można było uważać za obiecującą bardzo, gdyby w niej było więcej spokoju, jak utrzymywał stary

zwolennik muzyki kościelnej — wiecznie poważny, uroczysty i dostojny. Profesor historyi zrazu chciał pozyskać sobie tę słuchaczkę, pojętniejszą i ciekawszą od reszty rówienniczek, ale i on skończył na tem, że na jej zapytania i uwagi ruszał tylko ramionami, albo się chwytał za głowę, zabezpieczając swoje organa słuchu, aby go przez nie jaka herezya, jego zapatrywaniom wroga, nie doszła.

Co do nauczyciela historyi naturalnej, tego ona sama znienawidziła za jedno śmiałe przystosowanie, którego, jak sądziła, pozwolił sobie najwyraźniej do jej właściwości umysłowych stosując porównanie swoje. Opisując bliżej pewien równie powabny jak rzadki gatunek motyla, wyraził się, że jest on rzadkością dlatego, iż się do warunków klimatycznych przystosować nie może, a wszystko co w stworzeniu potrzebuje dla siebie praw wyłącznych, zgóry skazanem jest na zagładę. I roślina egzotyczna, i owad zbyt strojny w barwy w zastosowaniu do otaczającej przyrody, i umysł ludzki nie dostrojony do kamertonu swego otoczenia, i naród nawet zapatrzony w siebie — przypisu-

jący sobie wyłączne przymioty i posłannictwa.

Wyjątkową niechęć powzięła do tego człowieczyny, niewinnego zresztą zupełnie, którego zatabaczonym bakałarzem nigdy odtąd nazywać nie przestawała, o czem on, nawiasem mówiąc, wiedział doskonale.

Dla towarzyszek była dobra, uczynna, ale wiedziały o tem rówienniczki, że do przyjaźni, wynurzeń i objawów uczucia skłonną nie jest, i to względem niej onieśmielało potrochu wszystkie. Mówiono o niej, że kochać nikogo i nic w życiu trwale nie będzie chyba.

Ona sama myślała w głębi duszy, że pokochać mogłaby jedną chyba doskonałość, a miała o doskonałości swoje przeczucia niejasne, i rozumiała, że na ten użytek potrzebaby mieć swój pierwowzór jakiś koniecznie.

Czy go znaleźć miała i kiedy—nie wiedziała, i nie zajmowało to wyłącznie jej szesnastoletniej wyobraźni.

Tymczasem z piętnem wyłączności pewnej przekraczała po ukończeniu nauk pensyonarską furtkę, i wchodziła przez

nią w życie rzeczywiste, które się dla niej w domu matki rozpocząć miało.

Dzieckiem zupełnem opuściła ten dom, wyniosłszy z niego wspomnienie bytu szarego i powszedniości życiowej, a tego jednego starczyło dla niej, aby tam myślą nie wybiegać nigdy w chwilach wątpliwości, i jej młodzieńczych początkowych rozterek ze światem otaczającym. Wiedziała, że ma kochającą i troskliwą matkę, że jest sierotą od piątego roku życia, zresztą pozostało jej niejasne wspomnienie ojca, które zatrzymała pamięć dziecinna — wspomnienie nikłe, niewyraźne, pochwytne zaledwie. Mało mówiono w domu o tym ojcu. Matka miała dla jego pamięci, jak się zdawało, więcej łez jak uznania; przez te łzy przeglądała i tęsknota i pamięć wierna, ale pozostał niby cień jakiegoś żalu nieokreślonego, którego pobudek ani stopnia słuszności ona nigdy dociec nie potrafiła dotąd.

Traf miał jej w tem usłużyć dopiero; traf ten objawił jej, że był ktoś taki na świecie, komu ona zawdzięczała tę wyłączność swoją, tylokrotnie jej wyrzucaną, i tę szerokość pragnień, przerastającą

miarę pragnień jej rówienniczek, i sam wreszcie niepokój duszy wyrywającej się z ram tego, co już wtedy nazywała sama pospolitością bytu.

Pierwsze starcie opinij między nią a matką w kwestyach życiowych przyniosło jej tę rewelacyą.

— Gdybyś ty wiedziała, biedne dziecko moje—mówiła wśród łez matka,—komu ty zawdzięczasz tę bezwzględność sądów, tę tęsknotę twoją za światem nieznanym, i ten twój cały niepokój duszny—gdybyś znała historyą smutnego kilkuletniego pożycia mego z ojcem twoim, możeby ci to przecież pożytek jakiś przyniosło. Ja taiłam i osłaniałam przed tobą to wszystko do tej pory, ale czy powinnam nadal?...

Uznała, że nie powinna, że to byłoby grzechem z jej strony, i wtedy opowiedziała córce długą historyę swojego krótkiego z jej ojcem pożycia—pożycia, w którem była i miłość głęboka, i szczęście, i zachwyty wszystkie, ale mimo tych warunków dodatnich, jak przekonał czas, był to rodzaj snu rozkosznego zakończonego tragicznie a przedwcześnie.

Z płonącem okiem i płomieniem na twarzy wysłuchiwała młoda dziewczyna wspomnień o losach dwojga ludzi nie pojmujących się wzajemnie od początku do końca, i podczas, gdy matka przekonaną była, że najskuteczniej leczy jej głowę rozmarzoną, w tej głowie porządkować się zaczynało właściwie to, co dotąd było luźne, nieujęte, bez kształtów i świadomości.

— Pomyśl dziecko, czy można gonić marę przez całe życie? Powiedz, czy godzi się mrzonce, choćby najszlachetniejszej, oddawać życie własne i losy najbliższych sercu?

A jednak ona przekonaną była, że to co matka nazywała gonieniem mary, było dla niej tylko właściwym kierunkiem ducha wyższego nad otoczenie swoje—to co się w języku ludzi przeciętnych zwie mrzonką, jest najnaturalniejszem ujściem dla działalności istot uprzywilejowanych, które się nicości przeżywanej chwili pochłonąć nie dają. Instyktowny wstręt swój do tego alluzyonisty, który jej na ławce szkolnej tak dokuczył historyą motyli, egzotycznych roślin, i egzotycznych

pragnień ducha ludzkiego, nabierał teraz kształtów i form, a ów byt powszedni, te egzystencye roślinne—to wszystko, co ona nazywała sobie życiem ślimaków i płazów, mroziło jej krew w żyłach.

Minęły te czasy, kiedy pragnienia takie poczęte w piersi kobiecej z góry skazane bywały na zagładę. Niegdyś tłumił je przymus, obowiązkowe popchnięcie kobiety na drogę jej przeznaczeń przyrodzonych—w braku tego oczekiwała taką ekscentryczkę wegetacya duchowa, o którą się nie troszczył nikt, i której ona sama zapobiegać mogła tylko wyjątkowo. Niby dzisiaj skończyła się ta epoka bezpowrotnie, ale z drugiej strony, czy to, co przed kobietą otwierają obecne warunki bytu zaspokoić może wszystkich podobnych pragnienia, i czy każdy duch znajdzie tam dla siebie karm dostateczną—to chyba stanowi zupełnie innego rodzaju pytanie. Są ludzie, którzy utrzymują, że dla niektórych organizacyj odwieczna historya Ikarów powtarzać się będzie do końca świata.

Pierwsza propozycya dalszego kształcenia ze strony córki, przyjęta była nie-

chętnie; wytrwałe powracanie do tych samych żądań przekonywało matkę, że o ile z jednej strony nie ma w tem nic, coby niepodobieństwem nazwać należało, o tyle młoda kobieta, której nie mogą wystarczyć nawet takie warunki bytu, i która po za nimi szuka jeszcze innych zadowoleń, musi być koniecznie trawioną jakimś rodzajem niepokoju wewnętrznego, który jej nigdy z życiem zupełnie pogodzić się nie dozwoli.

Ostatecznie wyszła znów na stół kwestya tego braku spokoju, którym prześladowano biedaczkę od niemowlęctwa prawie, i którą matka zawsze za smutną ojcowską spuściznę uważała dotąd u niej.

Mimo to pozwolono jej odejść z domu na owe upragnione studya uniwersyteckie, pozostawiono dowolny wybór przedmiotu, i zdawało się teraz samej nawet kandydatce medycyny, że widzi przed sobą widnokręgi niezmierzone, że tam oczekują na nią zadowolenia marzone, i tryumfy na wyżynach, i Bóg wie nieco jeszcze... no! szczęście jednem słowem!

Szczęście to wielkie słowo.

Było ono tam w początku i wcale nie-

zwyczajne nawet, podobne do upojenia rozkosznego, a że cel wydawał się bardzo dalekim, więc dwoiła się energia, mnożyły wysiłki, rodziła gorączka źle zwiastująca dla doświadczonego wzroku. Koledzy i koleżanki zawodu, patrzyli często ze zdumieniem, z niedowierzaniem innym razem, a lekarz rodak, który dla młodych medycynierek z kraju przybyłych, niezmordowanym był doradcą i kierownikiem, niechętnie kręcił głową, nie szczędząc uwag i ostrzeżeń swoich.

— Nie idzie się w tej nauce skokami. Więcej refleksyi — więcej spokoju — koniecznie spokoju!

Znowu torturowano ją tym spokojem, którego ona nie chciała, który innym może był potrzebnym, a nawet koniecznym—bez którego jednak ona obejść się potrafi.

Tak jej zeszły dwa niespełna lata w życiu.

Pod koniec czwartego semestru zaszły okoliczności, które pozwoliły blizkim przypuszczać, że z taką gorliwością prowadzone studya są poważnie dosyć zagrożone. Znalazł się ktoś, co od roku

już ukończywszy medycynę wybierał się do kraju z powrotem, a że egzamina ostateczne wypadły mu bardzo świetnie, więc pewnym był, że w zawodzie swoim obejdzie się zupełnie bez koleżeńskiej pomocy żony.

Z pomocy naukowej rezygnował stanowczo, ale osoby wyrzec się nie chciał za nic, a że była to skłonność obustronna bardzo silna, więc przeważyła wszystkie dawne i późniejsze postanowienia młodej osoby.

Nie bez żalu jednak szczerego żegnała pracę swoją dotychczasową; cierpiała dotkliwie nad porzuceniem zamiłowanego fachu, a przytem, upokarzała ją myśl, że teraz niczego nie dokaże już w życiu ważnego i samodzielnego. Za to mąż jej przyszły przekonanym był, że ocala ją od wielkiego niebezpieczeństwa, wyrywając nauce, a przekonanie to podzielali wszyscy młodzi obu płci towarzysze pracy, którzy odgadywali, jak szybko wypalał się ten temperament nerwowy w takich warunkach. Lekarz pedagog żegnając parę narzeczonych wziął na bok przyszłego męża

i dał mu swoje pro memoria w kilku znaczących słowach:

— Dobrze się stało. Miałem wielkie uznanie dla charakteru i zapału szczerego do nauki tej młodej osoby, ale to ci powiem, że mniej zrównoważonego temperamentu nie zdarzyło mi się spotkać. Lekarzem dobrym nie byłaby nigdy, a może być dobrą żoną i matką, bo jej nie zbywa na uczuciach szlachetnych i umyśle otwartym. Gdyby żałować miała przerwanych studyów swoich, uspokoisz ją wyjawieniem tej mojej opinii, bo wiem, że miała do mnie zaufanie prawdziwe. Jedźcie do domu i bądźcie szczęśliwi oboje.

Zanadto pospieszył się z tem wyjawieniem lekarza narzeczony, który zdał tym sposobem zły egzamin z psychologii wogóle, a w szczególności z psychologii kobiecej. Zamiast uśpić niepokoje i obudzić to serce do życia, w którego progi wstępowało, zasiał w duszę żal za tem co traciła, a zarazem położył fundament pod przyszłe wątpliwości, na temat: czy, aby nie zbyt drogo okupuje ona tę swoją małżeńską szczęśliwość.

Powrót do kraju, spotkanie z matką, zajęcia i przygotowania poprzedzające niedaleki dzień ślubu, wszystko to ożywiło ją na czas jakiś i zatrzymało w rozwoju ten szczególny, jak go zwie poeta, jaskółczy niepokój duszy, który wedle przekonania matki przyniosła ze sobą na świat. Ale już pod koniec sam, znać było w rysach znużenie, a w oczach ów blask charakterystyczny, który świadczył, że to co było u niej stanem normalnym, powracało nieubłagane a groźne.

Niekiedy błahy pozornie fakt więcej nas nauczy, niż najpracowitsza obserwacya.

Pewnego dnia narzeczony wchodząc do pokoju usłyszał przy akompaniamencie fortepianu głos młodej kobiety, i zatrzymał się uderzony szczególnym akcentem skargi bolesnej z jakim oddawała znaną dobrze piosnkę Żmichowskiej:

Tęsknię, ah tęsknię w zimie za kwiateczkiem,
A gdy mam z wiosną kwiatów łąkę całą,
To tęsknię jeszcze za konwalią białą,
A przy konwalii za śniegu płateczkiem.

Była sama, widział ją w zwierciadle, i przypatrywał się z trwożną, tym razem,

uwagą wyrazowi jej twarzy i przejęciu, jakie wkładała w oddanie tej perły prawdziwej, pozostawionej światu kobiecemu przez jego wielką marzycielkę. Głos skarżył się dalej:

Tęsknię, ah tęsknię do mojego brata,
A kiedym z bratem to tęsknię do ciebie,
A kiedym z tobą, to do Boga w niebie,
A kiedym z Bogiem, to tęsknię do świata.

Żywy niepokój wstrząsnął młodym lekarzem, opanował jednak wzruszenie własne, bo nie śmiał przerwać tej bezwiednej spowiedzi serca, któremu jak widać, życie nie mogło dać szczęścia, bo ono nie dla szczęścia przyszło na tę ziemię łez i niedoli. A ona kończyła tymczasem:

I złe i dobre, i grzech mój i cnota
I to co kocham i czego się boję,
I myśli moje i modlitwy moje,
I życie całe, to tylko tęsknota.

Wszedł do pokoju, zastał jeszcze łzy płynące po twarzy, i bez słowa wyrzutu złożył cichy pocałunek na tem czole zawsze prawie smutnem teraz i zamyślonem.

Są chwile, które nam dają niejako objawienie przyszłości.

Jego bardzo wiele nauczyła ta chwila, ale... ludzie są ludźmi, życie jest życiem i nie zawsze jesteśmy tem względem blizkich i kochanych, czem byśmy chcieli być wedle serca i sumienia.

* * *

Nie było szczęścia w tym związku. Nie było go, pomimo że on był zacnym i rozumnym człowiekiem, a ona jedną z organizacyj uprzywilejowanych. Pomimo że kochali się szczerze, pomimo, że ona była duszą przezroczystą jak kryształ, umysłem otwartym i entuzyastycznym, a on człowiekiem czynu. On jej wymawiał nieraz ten brak spokoju, a robił to przez wzgląd na ich wspólne szczęście, które widział zagrożonem... a w końcu... w końcu, przez wzgląd na siebie samego.

Tak jest! jesteśmy tylko ludźmi.

Ona mu nie mogła dać szczęścia, bo go nie miała w sobie, a jego to pognębiało i drażniło często, bo mimo że rozu-

miał człowieka, nie mógł zrozumieć wszechpotęgi tego niszczącego pierwiastku, którego ona stłumić w sobie nie mogła.

Jest bo niezgłębiona tajemnica wszystkich tego rodzaju organizacyj, i w niej szukać należy źródła braku harmonii między dwoma duchami, które tem się tylko różnią od siebie, iż jeden z nich jest dla ludzi i dla życia, a drugi—nie.

* * *

W rok niespełna leżała już w trumnie, piękna jak nigdy, słodka i spokojna jak nigdy.

Zwiał anioł śmierci niepokój z tego czystego czoła i pokazał ją kochającym taką, jaką byłaby z pewnością. gdyby nie to, co przyniosła ze sobą na świat, a czego nazwać słowem byłoby najtrudniej podobno.

JEDEN Z NIEZNANYCH

Wspomnienie.

— Widzi kochany pan, to dla mnie ćwiek prawdziwy w głowę taka sprawa. Człowiek radby z serca jak najlepiej, a tu ani weź, ani połóż—i to złe, i tamto jeszcze gorsze.

Bąknąłem coś pod nosem niewyraźnego, w rodzaju usprawiedliwienia, bo w istocie przykro mi było, że tyle osobą moją robię kłopotu poczciwcowi jakiemuś, który rad był jak najsumienniej wywiązać się z włożonego nań obowiązku. On tymczasem, prawie nie zważając na moją obecność, monologował w połowie do siebie, w połowie zwracając się do małżonki swojej, trzydziestoletniej, typowej a sympatycznej bardzo wiejskiej gosposi, która mu przerywała gestem, ile razy ktoś ze służby, albo dziecko wchodziło do sali jadalnej.

— Bo powiedz sama, moja droga—ciągnął wśród przerw ciągłych pan Kazimierz, czterdziestoletni mniej więcej, o zawiesistym wąsie mosterdziej—co tu poradzić? Na folwarku—o tem mowy nawet niema, bo tam ja nie odpowiadam za nic; tu chyba w żadnym pokoju na dole, bo każdy z nich ma swoje „ale.“ Jeden zanadto na oczach, w drugim spokojności najmniejszej, bo za blizko dzieci; w pokoju znowu nieboszczyka twego ojca piec tak dymi, że byle naręcze drzewa wrzucić to się w pięć minut zrobi ciemno niby w słodowni jakiej—jednem słowem „choć urżnij szyję,“ jak to mówią ludzie.

Jeszcze pochodził trochę dokoła stołu, szepcząc do siebie rozmaite urywane zdania, a w końcu zatrzymując się nagle przed żoną, bez której dorady nic się najwyraźniej w tym domu nie robiło, odezwał się tonem nieśmiałego napomknienia:

— A gdyby tak z Augustem?.. co— jak ty myślisz?

Pani zaprotestowała ruchem głowy, spuszczając jednocześnie oczy, jak gdyby jej propozycya męża wydała się absurdem

zupełnym, ale jemu ta myśl utkwiła w głowie jako trafna widać niezmiernie, bo nie zważając na opozycyę swojej rady przybocznej, coraz więcej korzyści upatrywać zaczął w tem umieszczeniu mnie z jakimś owym panem Augustem, o którym tak dobrze, jak i o reszcie mieszkańców Wólki nie słyszałem nigdy przed dniem dzisiejszym.

— Jak nie z Augustem, to ja już nie wiem co począć. Zresztą co ty w tem widzisz niewłaściwego, złego czy nieprzyzwoitego—ja nie rozumiem doprawdy.

Pani domu, której projekt ten sprzeciwiał się wyraźnie, wyszła z pokoju ruszając lekko ramionami, co jednakże pana Kazimierza nie przekonało wcale, bo już po odejściu żony zwrócił się on do mnie z objaśnieniami.

— Kobiece uprzedzenia, panie szanowny—więcej nic! August chłopak był zawsze na pokaz każdemu, a że mu się z dopuszczenia Boskiego coś zrobiło, to przecie nie wstyd i nie hańba żadna dla rodziny jeszcze. Mówię „z dopuszczenia Boskiego,“ bo to panie szanowny, bez woli Bożej takie nieszczęście nieprzewi-

dziane nie spada na człowieka nigdy. Zkąd? — Jakim sposobem? Ja przynajmniej o niczem podobnem nie słyszałem. Ale te kobiety, to zawsze swoje, a zawsze— dokończył ciszej nachylając się ku mnie— zawsze niemądrze. Że to, panie łaskawy, jej brat rodzony, więc jej to nie po sercu, że go ktoś takiego, jakim jest dzisiaj, oglądać będzie. Ano—cóż robić! Stało się. Chociaż ja tego nie mówię, ale Pektorowicz, niby nasz doktór, bo to pan szanowny nie wiesz nic o tej naszej stronie, ale ten zawsze powiada, że on chyba jeszcze wyjdzie na ludzi. A w końcu co będzie to będzie, ale co się tyczy tej wyjątkowo okoliczności, jak nie można inaczej, to co począć?

— Kto był ów August—co mu się zrobiło, że go się tak sromała siostra, i że jak wnioskować mogłem, taki był niemożebny do pokazania ludziom, nie wiedziałem wcale, a prawdę rzekłszy, nie byłem nawet ciekawy dowiedzieć się wówczas. Czułem natomiast, że potrzebuję ponadwszystko spokojnego i bezpiecznego kąta, i że mię to momentalnie nadzwyczaj upokarza, iż staję się mimo-

wolną przyczyną takiego zamięszania i kłopotu dla domu, któremu do chwili obecnej z nazwiska nawet znajomym nie byłem. Jakoś na moje właśnie mozolnie układane w ład pewien usprawiedliwienia weszła pani domu, a czy jej się mnie wśród tych niepewności żal zrobiło, czy dlatego że chciała poprostu te spory jak najprędzej zakończyć, dość, że zrzucając z siebie po kobiecemu prawdziwie odpowiedzialność za krok w jej mniemaniu niewłaściwy zupełnie, zgodziła się milcząco z mężem na to, abym ja rezydencyę na facyatce w szczycie domu położonej, podzielił z tym panem Augustem, któremu, wedle wyrażenia jej małżonka, coś się przytrafiło przed niedawnym czasem.

Ponieważ byłem w wyjątkowy zupełnie sposób strudzony i wyczerpnięty, skorzystałem z pierwszej zrobionej mi propozycyi, i poszedłem za służącym, który mię krętemi, z przedpokoju prowadzącemi schodkami zaprowadził do tej jakiejś ubikacyi wskazanej przez panią domu, przyczem zauważyłem, że mu tam jeszcze jakieś dodatkowe instrukcye kładziono

w uszy, co dla mnie, prawdę rzekłszy, zupełnie drugorzędne miało znaczenie. Są takie stany prostracyi fizycznej, i takiego zarazem krańcowego napięcia nerwów, że wszystko co nie jest samotnością, zejściem ludziom z oczu, ciszą i milczeniem bezwzględnem, przeraża, gniewa, albo obezwładnia. Ofiarą takiego nastroju czułem się i ja w tych chwilach dla mnie niezapomnianych, i dlatego czy mię ten osiwiały stary sługa domu prowadził do góry, czyby mi wybrał drogę do podziemi jakich, było dla mnie jednem i tem samem zupełnie.

Facyatka, wraz z przyległymi do niej dwoma kompartymentami, okazała się wielce charakterystyczną facyatą naszych dworków wiejskich. Nizka, widna, słoneczna, mająca szerokie perspektywy na trzy strony świata. zwróciła moją uwagę, i gdyby nie to właśnie, że była tak dostępną światłu, taką otwartą i wesołą a uśmiechniętą, byłbym się w niej uczuł bardziej może swobodnym i spokojniejszym. Taka, jaką znalazlem ją w tym dniu, oddziałała na mnie prawie przygniatająco.

Wrażenie ujemne odebrane na wstępie samym od rzeczy martwych, spotęgowało się o bardzo wiele przy pierwszem zetknięciu z istotą żywą, którą zastawałem tutaj, a z którą miałem dzielić tę samotnię do czasu... albo ja wiedziałem do jakiego czasu. Ani mnie, ani nikomu nie było to w owej chwili wiadomem.

Człowiekiem tedy. który mię spotkał na progu był mężczyzna lat nieokreślonych, wysoki, szczupły, mógłbym powiedzieć wychudzony, i jakgdyby strawiony cierpieniem jakiemś którego natury domyśleć się na razie nie mogłem, nawet po uprzednich jego szwagra w sali jadalnej napomknieniach.

Przedstawiłem mu się tak jak mogłem i o ile mogłem, on ze swej strony bąknął kilka słów obojętnych, ale odrazu poznałem, że rad mi nie jest, i że w dalszym ciągu skłonnym do zbliżeń się nie okaże, co w danych warunkach było mi zresztą dosyć na rękę. Niemniej próbowałem nawiązać rozmowę jakąkolwiek, po szczeblach której mogłem był dojść do wytłómaczenia mu, jakim okolicznościom zawdzięczał on nieprzyjemność

mojej inwazyi, ale zbył to wszystko chłodnem przyjęciem do wiadomości, zatapiając się dla położenia kresu rozmowie, w jakiejś gazecie, którą trzymał w ręku, a którą inni ludzie z zajęciem pewnem mogli czytać przed kilku tygodniami, jak wskazywała data.

— Przepysznie obojętny ja jestem na twoją powagę i twoje boczenie się, mój panie, a ponieważ tobie podoba się studyować zapewne po raz któryś z kolei jeden i ten sam numer dziennika, pozwól że i ja poszukam satysfakcyi, której duch i ciało moje najmocniej pożądają. To pomyślawszy, poradziłem się starego sługi, azali właściwem byłoby objąć w niepodzielne posiadanie całą jedną stojącą pod ścianami sofę, a po otrzymaniu jego potakującej odpowiedzi, oddałem się spoczynkowi, który się do następnego poranku przedłużył.

Nazajutrz ten sam chłodek i to samo stronienie zauważyłem u owego pana Augusta, tylko ponieważ miałem dłuższą sposobność przyjrzenia się odludkowi, wykryłem na swoją rękę w tym człowieku, najwyraźniej nienormalnym umy-

słowo, jakąś nieufność szczególną, podejrzliwość — wogóle wrogie względem swoich i obcych usposobienie.

Na dół, jak mi służący mówił, nie schodził on prawie nigdy, pokoju nie opuszczał, a w tej samotności trawił czas nie wiadomo na czem, bo drzwi skrupulatnie od wewnątrz i szuflady wszystkie od biurka swojego zamykał, kładąc zawsze kluczyki pod poduszkę.

Monoman jakiś, zawyrokowałem ostatecznie, i to mi tylko było przykrem, że nie widziałem przed sobą określonego terminu, w którym nas los od siebie wzajemnie uwolni. Bo i co mnie zresztą, takiego jakim byłem podówczas, jeden jakiś maniak wykolejony mógł zajmować. Niechaj idzie sobie do szatana, skoro zwaryował nie w porę.

Jednego z dni następnych zapytała mnie pani domu:

— Cóż tam August?—nie przeszkadza panu?

Zaznaczyłem konieczność odwrotnego zapatrywania się na ten stosunek, a następnie wyraziwszy moje współczucie, zrobiłem kilka zapytań dotyczących stanu

tego biedaka. Ona odpowiadała wymijająco, i dopiero mąż przyszedł jej w pomoc trochę i dał mi nieco wyjaśnień, które w istocie obudzić mogły interes w każdym.

— To, panie—mówił mój gospodarz—szczególny jakiś był wypadek, ale co było właściwie, nie wie nikt; i bodaj, że się nie dowie przed sądem ostatecznym, jeśli notabene przypadkiem jakimś on do siebie nie przyjdzie i nie powie sam. Jemu, widzi pan kochany, przewróciło się w głowie, a przewróciło w sposób bardzo osobliwy. Wydaje mu się, że jest okradziony, o tem tylko mówi, a nawet i pisze, bo przejęliśmy kilka jego listów pisanych do przyjaciół, a w szczególności do niejakiego Juljana Z. w Warszawie, człowieka bardzo porządnego, z którym on razem tam mieszkał. Zaklina go, żeby szukał tego, co wie... prosi, błaga. No, co począć panie drogi, z nieszczęśliwcem, któremu raz wejdzie do głowy podobna fura siana?

— Bardzo dobrze, ale na jakiejże podstawie pan dobrodziej jesteś tak zupełnie przekonanym, że jemu w istocie

nie zginęło nic — nic, dlań bardzo ważnego?

— Idźże ty człowieku z Bogiem, albo się przeżegnaj krzyżem świętym lepiej, bo widzę że przez te kilka dni i ciebie się już coś uczepiło. Jak widać, takie tam powietrze jakieś na tej facyacie waszej. Co jemu miało zginąć? Funduszami administruję ja, a wiedzą Bóg i ludzie, że tam gdzie moja ręka, tam ład i sens musi być we wszystkiem. Procent pobierał, którego nie wydawał nigdy w całości, pomimo że ludziom świadczył, bo to trzeba panu wiedzieć, że to serdeczny był zawsze chłop, ten nasz Gucio od dziecka. Przytem kiedy się to już w Warszawie objawiło u niego zupełnym rozstrojem, i my musieliśmy jechać żeby go zabrać ze sobą, znaleźliśmy rachunki w porządku i znaczną jak na niego kwotę pieniędzy. Co jemu zginąć mogło? Nic nie zginęło.

— Jak mówią o tem jego koledzy i przyjaciele w Warszawie?

— Oprócz tego Juliana nie mówiłem z nikim, a tamten—cóż? on go żałuje bar-

dzo, ale widzi w tem wszystkiem nieszczęście—nic więcej.

— Cóż robił? czem się zajmował?

— Otóż to i bieda chyba ztąd wyszła. Żeby jemu była w głowie ćwiekiem nie utkwiła ta jego manja autorska, może nie byłoby całego nieszczęścia. Ale on dnie i noce spędzał nad tym papierem zadjablonym, no i dał mu szczęście, biedakowi, ten papier.

— Wydawał co? drukował?

— Et! Pożal się Boże! Sama chęć zabrania się do tego zdradzała już chyba pewną anormalność, bo co, proszę pana, chłopakowi majętnemu, urodziwemu, jak mało kto, bawić się było w gryzmołę.

— Widzisz Kaziu, nie można znowu tak mówić, bo to zupełnie jakgdyby on nieszczęśliwym był z urodzenia. Ty bo nie masz dla niego pobłażania żadnego, taki jesteś bezwzględny..

Otarła oczy i wyszła z pokoju.

— A opinja lekarzy?

— Eh, o tem, toby także było dużo gadać. Lekarze, jak lekarze, panie kochany. Warszawscy kiwali głowami, nazywali to różnymi terminami łacińskimi,

i skończywszy na tem, żeby go zamknąć w domu waryatów. No, na to moje kobiecisko zgodzić się nie mogło, a ja jej tego nie ganię, bo w istocie ktoby go tam wpakował, toby go był dokończył na pewno. A tutejszy, niby ten Pektorowicz, o którym panu mówiłem, toć on go widuje co tydzień, albo i dwa razy w tygodniu. Za straconego zupełnie go wprawdzie nie ma, ale chrzci ten jego stan nazwiskiem monomanii; tłómaczy, że pod wpływem myśli, która zawładnęła nim całym, nagle—powiada—naruszyła się równowaga, i na tym punkcie zawiesił mózg swoje czynności. Zegar stanął.

— A więc nie dopuszczasz pan, jako sprężyny, nic z tego co on sam opowiada?—wszystko jest uwidzeniem?

— A rozumie się! To niema powodu nawet wątpić, że tak jest. Zresztą, co to panie taki człowiek, co się raz rzuci na pisanie bajd jakichś, które nigdy nie miały miejsca. To panie, człowiek stracony. U niego wszystko możebne. Jednem słowem stało się nieszczęście. Ja to tam żonie nie kraczę złej wróżby, bo

się kobiecisko biedne i tak już zanadto namartwiło tym straceńcem, ale że on stracony, to jabym rękę w ogień włożył za to.

Tydzień nie ubiegł cały po tej rozmowie naszej, a ja żegnałem Wólkę poczciwą na zawsze, przynajmniej tak mi się wydawało podówczas; żegnałem tych ludzi dobrych ze szczerem uczuciem wdzięczności w sercu, i tylko ów posępny cień tam na górze, niby chmura czarna, majaczył w moich wspomnieniach ponad całem cichem istnieniem tej rodziny.

Pięć lat minęło od tego małego epizodu pobytu w Wólce, który sam przez się zasługuje na uwagę tylko jako prolog do jednego z najmisterniejszych powikłań życiowych, na jakie chyba tylko przypadek wszechmocny zdobyć się może. Bez tej usługi, jaką oddał tutaj ten psotnik potężny, udaremniający bardzo często najsubtelniejsze wyrachowania ludzkie, tajemnica monomanii, melancholii, czy obłąkania biednego Augusta, byłaby niewątpliwie zstąpiła z nim razem do grobu. Inaczej napisanem było, jak się pokazuje.

W ciągu tych lat kilku zapomnieć mi przyszło o niejednym ważnym fakcie; zatraciła się pamięć wielu serdecznych stosunków, jakże się tu dziwić, że i cicha, gdzieś wśród borów ukryta Wólka wraz z jej mieszkańcami jak w przepaść zapadła się poza mną. I gdyby nie imię i nazwisko tego desperata Augusta D., z którem się przed kilku miesiącami w rubryce nekrologii jednego z dzienników spotkałem, z pewnością największą te kilkanaście dni mego życia nigdyby mi na myśl i teraz nie były przyszły.

Krótkie to, widać nadesłane, było owo wspomnienie pośmiertne. Oprócz wieku lat 32, mowa tam była o długich i ciężkich cierpieniach, o przerwanym zawodzie literackim—co już jedynie na karb siostrzanej miłości policzyłem czytając, bo przecież sami braterstwo zmarłego wzmiankowali, że nic on dotąd drukiem nie ogłosił Ha! jeden więcej zawiedziony aspirant do sławy, pomyślałem przelotnie, i oprócz kilkunastu minut wspomnienia, które przed snem tej rodzinie poświęciłem, czułem, że nie prędko znowu myślą do niej powrócę.

Stało się inaczej. Pewnego ranka bez żadnego powodu przyszedł mi znów na myśl August D. i przez cały dzień chodził on za mną jak żywy, tak, że się dziwiłem w końcu, jakim sposobem do tego przyszło, i tu właśnie rozpoczyna widocznie dzieło swoje ów przypadek, o którym mówić chciałem.

Zaledwie zmrużyłem powieki tego wieczoru, obudziło mię wejście służącego, który zapalając świecę przy łóżku, wręczał mi jednocześnie sztafetą doręczony telegram z odległej stacyi drogi żelaznej. Sprawa była pilna, niecierpiąca godziny zwłoki, zamiast tedy pofolgowania chęci pożądanego spoczynku, musiałem jak najspieszniej gotować się do podróży, i zanim godzina minęła, w ciemną Listopadową noc zdążałem do kolei. Było przedemną dobre pięć godzin drogi końmi, następnie pół dnia jazdy drogą żelazną, a jeszcze potem jakieś trzy do czterech mil najcięższej i najprzykrzejszej podróży wózkiem jaką sobie wyobrazić można. Materyał zatem do rozpamiętywań był dostateczny; odrazu sama przez się nasuwała mi się teraz sposobność ujrzenia

znowu tej okolicy, którą przed laty pięciu w tak odmiennych warunkach oglądałem—okolicy, której klucz stanowiła właśnie ta nad rzeką, na skraju wielkiej lesistej puszczy położona Wólka.

— Trzeba będzie tych ludzi odwiedzić—pomyślałem—niezupełnie ja wywiązałem się względem nich z obowiązku grzeczności podówczas, dobrze tedy, że się naprawi to, co może młodzieńcza szorstkość obejścia, jako niesympatyczny ślad pozostawić tam mogła.

Bytność zatem w Wólce weszła w program podróży mojej.

Na stacyi, znowu rozmyślania innej natury. Jak tu przepędzić w wagonie te dziesięć blizko godzin jazdy. Rozmów przygodnych z ludźmi nieznajomymi nienawidziłem zawsze; przez zamglone szyby w słotny jesienny dzień, niepodobna mi było liczyć po sto razy w życiu oglądane już wioski, lasy, budki dróżnicze i telegraficzne słupy, jakże tedy rad byłem, kiedy równo z brzaskiem dnia otworzył na stacyi chłopiec szafę z książkami, i piskliwym głosem zaczął zwracać na nią uwagę wszystkich spożywających ranną herbatę.

W parę minut znalazłem się przy tej przenośnej księgarni. Ani mogłem jednak oglądać, namyślać się i wybierać; pierwszy dzwonek już się odzywał, więc i pierwsza czterema kolorami upstrzona okładka ze skośnym tytułem „Inflamatus,“ zwróciła moją uwagę i temu nieznanemu utworowi, o którym jednak zdało mi się, że bodaj coś między recenzyami dziennikarskiemi czytałem niedawno, powierzyłem urozmaicenie i rozrywkę mojej podróżnej nudy.

Zaledwie się jednak umieściłem w zacisznym kątku wagonu, i zabrałem do tej lektury, po kilku stronach przyznać musiałem, że zbyt zagmatwaną łamigłówkę wybrałem sobie tym razem. Ale bo co też to i za chaos niepojęty panował tutaj! Niby poemat jakiś prozą, ale prozą poetyczną pisany, tylko że jednolitości, ciągu, założenia, rozwiązania, bo i do tego w końcu książki zajrzałem zniecierpliwiony—ani szukaj. A przytem zlepek to był jakiś, coś szczególnego, niebywałego, gdzie na każdej stronnicy spotykałeś natchnienie i polot myśli, przy najudatniejszej formie, a tuż, tuż obok—dwa wiersze poniżej,

jakaś pospolitość, jakiś wybryk, niby zgrzyt niepojęty—ni przypiął, ni przyłatał—jak to mówią.

— Drwiny z czytelnika, czy co, u biesa!—wykrzyknąłem ze zniechęceniem, i złożyłem książkę do mojej torby podróżnej, postanowiwszy sobie jednak zajrzeć do niej na pierwszym noclegu tyle tam jednakże znajdowałem tych pereł prawdziwych, po które nie żal było trudu grzebania w owem nawet śmiecisku najdziwaczniejszem przyznaję, jakie mi się w życiu spotkać zdarzyło.

Jeszcze dnia tego zdążyłem na noc do Wólki. Późno już było, mianowicie jak na wiejski obyczaj nasz, dlatego musiałem powinszować sobie mojego postanowienia, polegającego na przezwyciężeniu wrodzonej nieśmiałości, bo mię tu ze staropolską prawdziwie powitano serdecznością, odrazu przypomniawszy sobie sposób i okoliczności, wśród których zrobiliśmy tę znajomość niezwyczajną. Na wsi wrażenia nie ścigają tak jedne drugich, jak w mieście, a przytem niechaj co chcą mówią, człowiek tu lepszy, szczerszy, bardziej nasz, a nadewszystko zachował on

w wyższym stopniu ten dar, który nazwać można pamięcią serca, i stosuje go we wszystkich sprawach swoich—stosuje do ludzi i do faktów zarówno, Głębiej żłobi jednem słowem bruzdy swoje na tych sercach życie, niż w miastach—to fakt niezaprzeczony.

Zacząłem, rozumie się od słów kondolencyjnych, dotyczących śmierci brata pani domu, ale mię wprędce osadził mąż, tłómacząc żonie to niepojęte dla niej wystąpienie moje.

— To, widzisz, było coś takiego, było—rok mniej więcej temu; i ja się z tem w gazecie spotkałem, ale nie chcąc ci robić przykrości, nie wspomniałem. Homonym jakiś, ale to szczególne, że imię i nazwisko i wiek te same zupełnie, a nawet coś niecoś powiedziano tam i o literackiej pracy...

— Nie wiem o czem mówisz...

— No, niema co powtarzać. Powiadam ci, że przed rokiem mniej więcej nabazgrał ktoś komuś jakiś nekrolog, a ten zmarły miał imię i nazwisko, i lata te same co August. No, pomyłka jednem słowem, bo cóżby oni też po tych gaze-

tach robili, żeby jeszcze pomyłek nie mieli do robienia. Basta! Zapomnijmy o tem, a lepiej pogadajmy z gościem naszym; będzie to coś jak echo czasów lepszych, a tego sercu coraz bardziej trzeba.

Poczciwie było w tej Wólce bardzo— tak dobrze i serdecznie jak niegdyś. Ze świtem miałem wyjechać, zamówiono mi też konie niezwłocznie, tak jak podówczas, a tymczasem prowadziliśmy tę urywaną rozmowę o wszystkiem i o niczem— o każdym z tych, który był ongi blizkim, a który albo był gdzieś daleko, albo go wcale między żyjącymi nie było. Ot, taka bezładna zwyczajnie rozmowa, wszczęta nagle po pięciu latach niewidzenia, z widokiem w dodatku, że ją za kilka godzin przerwać wypadnie. Wogóle wiadomości pocieszających nie udzielono mi żadnych prawie; dzieci wprawdzie chowały się zdrowo i rozwijały, jak zapewniali rodzice, pomyślnie, ale w stanie umysłu biednego Augusta, żadna na korzyść zmiana nie zaszła.

— Owszem — mówił mi pan Kazimierz.—Zastygł on tak, zaskorupiał, od ludzi stroni bardziej jeszcze niż dawniej.

Zdaje mu się tylko, że coś robi, a to pożal się Boże, smutek okropny patrzeć na to, co z pod tych rąk wychodzi. Zazwyczaj arkusz każdy zapisany jest ze wszystkich czterech stron, a w tem co tam napisano ani związku, ani ciągu. Przytem wysechł, w ostatnich czasach zapadły mu oczy, nie je prawie wcale, ale śpi dzień cały bez mała. Takie nieszczęśliwe życie rośliny—oswoiliśmy się już z tem, bo i z czem się to człowiek na świecie nie oswoi.

Na wniosek gospodyni domu, należało mi się przespać parę godzin przynajmniej przed drogą, a w zamian za to musiałem dać uroczyste zobowiązanie, że z powrotem wstąpię jeszcze i przynajmniej dni parę z nimi przepędzę, na co bardzo chętnie zgodziłem się oczywiście.

Ponieważ zażądało mi się pełni całej wrażeń niepowrotnie ubiegłych, prosiłem, aby mi na ten krótki mój spoczynek przeznaczono i tym razem jeszcze pokój Augusta na facyatce; ciekawy byłem jak to wszystko razem i on sam wreszcie, właściciel tej pustelniczej celki,

przypomni mi się dzisiaj. Zaniesiono za mną mój bagaż podróżny, ale spodziewany połów na wspomnienia okazał się żadnym prawie, jak to zwykle ma miejsce, ile razy z myślą z góry powziętą zabieramy się do wywoływania widm i mar przeszłości.

Spojrzałem uważniej nieco na tę twarz śpiącego człowieka, zdumiałem się jego siwiźnie przedwczesnej, policzkom zapadłym i po krótkim egzaminie biedaka, który ani się domyślał, że jest przedmiotem obserwacyi, przyznać musiałem słuszność twierdzeniu jego szwagra, który utrzymywał, że ten organizm wypala się doszczętnie. Tak być musiało w rzeczy samej — dokończał się wyraźnie, i to na szybkie chyba nawet tempo.

Sięgnąłem machinalnie ręką po książkę przywiezioną ze stacyi, ale i to nie szło jakoś — wstrząśnięty czy rozdrażniony byłem dziwnie, ale czem? nie umiałbym powiedzieć wówczas. Dziś wolnoby mi było prawie napewno twierdzić, że bywa w życiu jakaś emanacya mistyczna, gdy się dokoła nas spełnia coś,

czego my nie dostrzegamy, i czego przeczuciem nawet nie odgadujemy, a co mimo tego stanowi o losach człowieka. To miało niewątpliwie miejsce w tej chwili.

Położyłem książkę, zgasiłem światło, a po paru godzinach snu ciężkiego bardzo, zbudzony przez służącego, jechałem znowu na miejsce przeznaczenia swego, zostawiając w tej Wólce także coś niepojętego, czegobym inaczej jak przeznaczeniem nazwać nie umiał.

Kto byłby wówczas powiedział, że tą rzeczą martwą, która jednakże tyle zaważyć miała w istnieniu człowieka, była owa książeczka dziwaczna, to cudactwo, ten zlepek dwóch sił tajemniczo i mechanicznie tylko ze sobę splątanych. Dziwne, dziwne bywają zrządzenia losu!

Kiedym w dwa tygodnie potem wysiadał z powrotem przed dworem Wólki, zdziwiony byłem na wstępie wyrazem twarzy gospodarza, którego, przeczuciem wiedziony, zapytałem odrazu co się stało.

— Niby nic nadzwyczajnego, jakby rzekł człowiek trzeźwy—odpowiedział mi on zmienionym głosem—ale dla nas bardzo to wszystko jest szczególne, prawie, że nadprzyrodzone. Wystaw sobie, w dwa dni po twoim wyjeździe, umarł August, ale co jest właśnie zdumiewającem, to że umarł zupełnie przytomny, pogodzony z losem, a w tych dopiero przedśmiertnych chwilach, powiedział nam ostatnie słowo swojej tajemnicy. Nie martw się, bo my tu do ciebie żadnego, Bóg niechaj nam świadkiem będzie, nie żywimy żalu. ale to ty przywiozłeś mu śmierć, a raczej dała mu ją ta przywieziona przez ciebie książka. Czy uwierzyłbyś, że to, o czem on mówił ciągle, to nad czem rozpaczał, czego żałował aż do utraty zmysłów, to było właśnie w tej przeklętej pamięci książczynie. Zobaczysz, jak on ją starannie pokreślił, jak ją oczyszczał z przytomnością umysłu zupełną z tego, w co ją przybrała zła wola, i nieudolność ludzka. Zobaczysz sam. Żona, bo to ona lepiej się zna odemnie na tem wszystkiem, powiada, że to było arcydzieło. Ukradł mu je nikczemnik, oszpecił do niepoznania

swoimi nieudolnymi dodatkami, i mniemając razem ze wszystkimi, że ten biedak nie żyje już, puścił w świat. Serce pękało patrzeć na tego naszego nieszczęśliwego chłopca, jak on to ze łzami odczytywał. Ah, gdyby to mógł był widzieć tamten—niechajby miał taką przynajmniej karę, bo to przecież rozpacz żeby tak bezlitośnie zabijać człowieka—i jakich nadziei człowieka.

— Któż jest tamten?

— Zaklinał męczennik, żeby nie mówić, więc nie powiem nic, ale książkę ci żona pokaże, bo ona dnie całe nad nią teraz przepędza, i lęka się tylko, żebyś zwrotu od niej nie zażądał, ale ty tego przecież nie zrobisz.

Zapewniłem jak najsolenniej.

Dwa dni przepędziliśmy z pośmiertnemi myślami tego jednego z wielkiej liczby skazanych na zapomnienie ludzkie. Kiedy robiłem siostrze jego propozycyę wyprowadzenia na światło dzienne tej sprawy okropnej, odpowiedziała mi ze spokojem:

— Nie chciał—zastrzegł to sobie.

„Ostatnia prośba moja—mówił—to

żeby dać pokój wszelkim dochodzeniom. Nie było woli Bożej, bo inaczej jabym sobie dziś nawet takiej wielkiej krzywdy wytłómaczyć nie potrafił.“

Niechajże tej woli Bożej i temu jego żądaniu stanie się zadośc, bo w samej rzeczy jakżeby sobie i tę dolę złą i ten cały tak fatalny zbieg okoliczności objaśnić można.

KWIAT PAPROCI

(Nie-bajka).

Na świat przyszedł w noc Świętojańską, tę noc legend i baśni święconą symbolicznymi obrzędy niezrównanego uroku, a jak mówią, i wielkiego znaczenia a wpływu tajemniczego na przeznaczenia ludzkie.

Czy dolę swoją przyniósł na świat ze sobą, czy mu od kołyski samej oświecał drogę życia jej czar mistyczny—niewiadomo, to pewna, że wplotła się ta noc w istnienie jego w sposób niepojęty, że niby nić złota wiła się wzdłuż tkanki życia, to niknąc, to ukazując się znowu, aż do godziny ostatniej—aż do ostatniego spojrzenia na tę ziemię rodzicielkę jego.

Innej bo też matki prócz niej nie miał przez życie. Tej bladolicej—tej jasnowłosej, która mu matką byłu ze krwi i ciała, raz jeden padł wzrok na niego

w oną uroczną noc Świętojańską, a i ten wzrok nie witał dziecięcia wchodzącego w świat łzą radosną, ale je żegnał smutkiem bezgranicznym na całą doczesną rozłąkę. W parę dni potem kryła już skąpa darń cmentarna ziemski szczątek tej, co dawszy życie dziecku, nic mu więcej z darów ducha swego udzielić nie mogła, a sierota pozostał aby spełnić, co w losach jego zapisanem było.

Nie rychło poznał on ojca. Domyślność sług starych odrazu odgadła, że ten ojciec patrzy na dziecko, jak na mimowolnego sprawcę rozdziału między nim a kobietą umiłowaną, i z przychylną przebiegłością usuwała chłopczynę z jego drogi. Rósł w cieniu jak mogilny kwiat, rozglądał się po świecie i po ludziach dwojgiem marzycielskich oczął dziecinnych, które miały swój urok i swoje głębie, a posiadałyby może i ten sam blask serdeczny, co miały niegdyś matczyne, gdyby nie patrzyły przez mglisty całun sieroctwa na wszystko co było dokoła. A jak one dziwnie spoglądać umiały te oczy!

— Ej sierotko ty biedny — mówiła

doń nieraz wiejska karmicielka jego—ej, Janku maleńki, nie spoglądaj ty tak daleko przed siebie, bo to niedarmo powiadają starzy, że jak kto taki wpatrzony we świat cały, to świata nie zażyje, a śmierć sobie wypatrzy przed czasem.

A dziecko naprawdę tonęło wzrokiem w dal bez granic, i zdawało się, że rozumie tę żałosną skargę prostaczego kobiecego serca, które jedno tylko użalało się nad dolą sierocą i nad tajnią przeznaczeń dzieciny.

Dziwnym pociągiem, tak często objawiającym się u ludu naszego, umiłowała ta najemna kobieta wychowanka swego serdeczniej, niż pozostawione w chacie dziecko własne, i temu obcemu oddawała bezpodzielnie to, co miała do oddania ze skarbów duszy i instynktów macierzyństwa.

Nie widząc nigdy na twarzy dziecka uśmiechu, pytała każdą kobietę starszą o przyczynę, ale odpowiedzi były tak rozmaite, że jej w końcu zawsze w głowie własnej wyjaśnienia szukać było potrzeba.

— Że wy też nie rozumiecie tego, Józefowa—mówiła jedna taka znająca, że co sierota to sierota. Tego już wam nie odrobić, bo to tak z woli Bożej pozostać musi. Sierota jest, i mówić jeszcze nie może, więc się Panu Bogu skarży smutkiem, i tyle.

Józefowa ocierała oczy i odchodziła z dzieckiem, a przy modlitwie wieczornej prosiła Boga, aby zdjął smutek z twarzy dziecka, które nieszczęście snać ze sobą na świat przyniosło.

— Niebogatego zdrowia była matka— powiadała inna, to i dziecko wiele mocniejsze być od niej nie może. Nastęka się, nabieduje, i pójdzie za nią, a waszego tyle będzie, co nocy nie dospicie i własne zaprzepaścicie jeszcze. Wola wasza—nie moja. Jużciż świeci się niby na was i na waszych za to, co prawda, ale czy to tak dobrze, to już wasze własne sumienie w tem—dodawała zazdrośnie, odchodząc.

— Młoda z was kobieta—mówiła stara znachorka wielce ceniona na okolicę całą — to i nie dziw, że się patrzycie

a nie widzicie. Przecie to dosyć okiem rzucić, żeby poznać że to odmieniec....

— Bóg z wami, Andrzejowa!—zkąd wam to do głowy przyszło? Jaki on odmieniec, kiedy on niema ani brata, ani siostry. Jeden był sierota na świecie i jeden ostał nieboże.

— Tak gadacie jak się znacie. Niby to odmieńcowi brata, albo siostry na to potrzeba, żeby był odmieńcem. Jeden jest odmieniec od swoich, a drugi od świata całego i takiemu każdemu dziesięć razy taka bieda, jak innemu. Widział to kto, żeby dziecko tak mądrze patrzało, jakby u niego nieprzymierzając stary rozum był w głowie.

Józefowa żegnała się krzyżem świętym.

— A poczekajcie no jeszcze — ciągnęła dalej stara.—Wiele to jemu będzie teraz?

— Akuratnie rok minął na ten święty Jan.

— Jakto na święty Jan?

— Ano, tak jak mówię. Przecie żeby mi sto lat przyszło żyć jeszcze, tobym nie zapomniała tej nocy i tej

żałości okrutnej, jaka była dokoła biednej pani, i...

— Kiedy tak, to znowu co innego. Żebyście mi to byli, moja Józefowa, powiedzieli odrazu, to jabym duchem była wiedziała zkąd bieda.

— Co wy, matko, chcecie powiedzieć?

— Co tu i mówić—tu sam rozum mówi. Urzeczony chudaczek przyszedł na świat, i tego nie zdejmie z niego nikt. To tak moi drodzy! Proścież wy, aby Boga, żeby się i was nie jęło to wszystko, bo to sprawa nie dobra... A chrzczonyż on aby?

— Coby nie miał być ochrzczony. Do tej pory.

— Bo to widzicie różnie bywa, a że chrzczony, a jeszcze taki został jak był, to nie lepiej, tylko gorzej dla niego. Patrzysz się na mnie kobieto, oczy wytrzeszczając, boś ty młoda i ani ci w głowie, co się tam w taką noc świętojańską nie dzieje na świecie—jakie to tam moce różne za bary się biorą ze sobą. Jużciż choćbyś to jedno wzięła sobie do głowy, że kiedy takie na to mówiący mizerne

ziele, jak ta paproć chociażby, na jaką godzinę a zakwitnąć może, to jużci ta noc taka dobra jak każda inna być nie może. Jak w spokojny czas przy księżycowem świetle, bez chmury na niebie, stuletnie dęby wywraca, jak złe wodzi grzesznego człowieka po borach, lasach i miejscach bezludnych, to jużciż głupiemu powiedzieć, że to sobie czysta sprawa jak każda inna. Tego nie trzeba mówić, bo taki rozum jak twój, to mały rozum na takie sprawy. Nie tacy jak ty, kobieto, bywali w taką noc na pokuszenie prowadzeni, i rozumem przypłacili to, co ich oczy w te czasy oglądały, a ty sobie w niwczem masz to wszystko.

— Każdy dzień i każda noc od Boga...

— A ja tobie mówię że nie każda. I ty żebyś była taka jak każda inna, tobyś także nie mędrkowała i nie zadawała głupstwa starej kobiecie, która ma więcej rozumu w palcu, jak ty w całej biednej głowie twojej. Widać że i ty już...

Rozstały się prawie że w gniewie jedna na drugą, ale w serce biednej karmicielki małego sieroty cierń wątpliwości

zakradł się od tego dnia, i teraz jeszcze mniej cieszyły ją jak dawniej oczy jej wychowanka, i już ich przy ludziach jak dawniej nie nazywała mądremi. A że wraz z tem nie słabło w niej przywiązanie, więc nieraz siedząc zdala od oczu ludzkich tuliła do piersi sierotę i ze łzami, cichym szeptem mówiła do niego.

— Nie opuszczę ja ciebie, dziecko, choćby wszyscy ciebie opuścili, ale nie rodzić się tobie było w takie godziny, w których słabnie moc Boża nad światem; co tam na ciebie rzucili, tego ja biedna kobieta wiedzieć nie mogę, ale przecie na tyle dzieci, co ja widziałam, to naprawdę ani jednego podobnego tobie nie było.

Utwierdziło ją wtem trwożliwem przypuszczeniu pewne zdarzenie, wedle jej widzenia rzeczy, szczególne. Ojciec rzadko bardzo widywał dziecko swoje, a dziwiło ją to niezmiernie, bo ani to był twardego serca człowiek, ani o tej, która matką dziecięcia była nie zapomniał wcale. Gdzieżby tam miał zapomnieć! Toż dzień jeden nie minął, żeby na jej mogiłkę, zimą czy latem nie poszedł, a w niespełna

półtora roku od jej śmierci, tak go żałość i tęsknota za nią pochyliły ku ziemi, że na niego ludzie bez uczucia litości spojrzeć nie mogli. I oto taki człowiek, gdy raz uważniej spojrzał na malca siedzącego na rękach niańki, oblał się cały purpurą na twarzy, i chwyciwszy rękami za głowę wybiegł z pokoju, wołając strwożonym głosem:

— Ach, te oczy—te oczy jego!

Ani przypuszczała biedna kobieta, że te oczy spojrzały na biednego ojca w tej chwili tym samym wyrazem, który mu tamten zgasły na wieki wzrok ukochany przypomniał; ani jej na myśl przyszło, że to wiecznie krwawiąca rana serca wywołała ten wykrzyk na usta, ale przeciwnie zupełnie, utwierdziła się w przekonaniu, że to jakaś ich siła tajemna tak przeraziła go—że przed jej potęgą uchodził on teraz jak zawsze do samotni swojej.

A dziecko? To dziecko, które przyszło na świat pod oną porę, gdy słabła moc Boża nad światem, odczuło wprędce wyjątkowość położenia swego, wyjątkowość pisanych mu losów. Ciche, milczące, zadumane uchodziło z oczu ludziom

i temu ojcu, którego spojrzenie nigdy nie spoczęło dłużej na jego jasnej główce, który nie miał dla niego ani pieszczot, ani igraszek, któremu sam widok chłopięcia wyraźny i dotkliwy sprawiał ból. To dziecko usuwało się samo w cień, błądziło z piastunką po oddalonych alejach ogrodu, po nieuczęszczanych przez ojca pokojach, mówiło mało, poważnie i szeptem. Smutny był ten mały Janek. Nie bawił się hałaśliwie, wesoło, jak inne dzieci w jego wieku, nie cieszył się cackom, które ojciec niekiedy posyłał mu do jego pokoju.

— Za mądry on na to!—mawiała do siebie piastunka.

Ale gdy czasem zachód snopem złota rzucił w okna starego domu i wzniecił w nich pożar czerwony, i barwy jakieś wydobył z nich tajemnicze, wtedy rozjaśniała się twarzyczka smutnego dziecka, oczy błyszczały zachwytem, i wyciągało ręce do tego czarownego zjawiska, które widać w duszy jego budziło jakąś drżącą strunę przeczuć, czy może wspomnień zaświatowego gdzieś bytu. A kiedy zdala ozwało się granie fujarki pastuszej, i tę-

skne głosy jej leciały powietrzem wiosennem ponad jasną zielenią pól, wtedy z oczu zasłuchanego Janka rzucał się strumień łez, i piastunka troskliwa żadną pieszczotą ukoić rozczulenia jego, tęskno-ty jego nie mogła.

Wcześnie też zasłyszał legendę o nocy świętojańskiej, i dowiedział się, że ta noc narodzin jego była nocą i dostrzegł, a raczej odczuł lęk jakiś zabobonny w słowach domowników, którzy baśń o kwiecie paproci z faktem jego przyjścia na świat dziwnie jakoś łączyli, plątali, a chłopiec rozmarzał się. Po raz pierwszy otworzył oczy wtedy, gdy otwierał kielich swój czarowny kwiat, nieuchwytny kwiat, mogący szczęście dać ludzkości całej... A może on, może on ten kwiat odnajdzie.

Nie miał więcej jak osiem lat życia, gdy myśl ta zaczęła w jego głowie kiełkować.

Było to w rocznicę urodzin jego. Piastunka Janka zazwyczaj noc tę całą przepędzała na modlitwach, które ofiarowywała za odwrócenie uroku od umiłowanego chłopięcia. I teraz, gdy klęczała w kąciku, odmawiając różaniec, wydało

jej się, że Janek poruszył się na łóżku. Wstała, i przybliżyła się zaniepokojona, bo w tę noc trwoga ją zwykle ogarniała niewytłómaczona i z lada powodu. Janek siedział na łóżku wpatrzony w okno.

Do pokoju wpadały promienie miesiąca, było prawie widno. Dziecko jakby urzeczone, nieruchome, patrzyło przed siebie.

— Janeczku, a czemuż ty nie śpisz, a toż połóż się dziecino! W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!—mówiła, robiąc nad nim znak Krzyża w powietrzu.

Ale dziecko jakby nie słyszało, nie poruszyło się nawet. I biednej kobiecie przyszło na myśl, że widać naprawdę w tę noc moc Boża słabnie nad światem. Pot zimny wystąpił jej na czoło. Nie wiedziała, co mówić dalej. Chłopiec tymczasem drgnął, i wziął ją za rękę.

— Nianiu, ty wiesz, ty mi powiedz, jaki on jest?.. Za mgłami gdzieś, daleko, strasznie daleko—ja go widzę...

— Kogo, syneczku? Śni ci się coś. No, połóż się na bok, główkę do poduszki przytul... a przeżegnałeś się ty przed spaniem?..

— Trochę go widzę... on jest purpurowy, purpurowy jak... krew.

— Co! O Jezu słodki, co on też gada? Co ty widzisz?

— Kwiat, kwiat... o widzisz... czerwony... prędkim, urywanym głosem mówiło dziecko—ja go znalazłem... kwiat paproci!..—I jakby znużony nadzwyczajnym wysiłkiem opadł na poduszki.

— O Matko Najświętsza! — jęczała biedna kobiecina.—O weź-że Ty go w swoją opiekę! Urzeczony! Toż prawdę mówili że urzeczony! I na przemiany to biła się w piersi, i całowała ziemię, to otulała i pieściła chłopca, który zasnął prawie nagle, ciężkim, głębokim snem, jak gdyby bardzo znużony.

Dziwne dziecko wyrosło na młodzieńca, który tym samym dawnym swoim, smutnym i rzewnym wzrokiem na świat spoglądał.

— Marzyciel! Entuzyasta! — mówili jedni!—Człowiek nienormalny! — wyrokowali inni.

On o tem nie wiedział! Wpatrzony w siebie, w łańcuchy mar rozwiewnych, które snuła jego wyobraźnia, mało żył z ludźmi, choć dusza jego słodka, łagodna mieściła w sobie niewyczerpane skarby miłości dla nich. Ten piękny młodzieniaszek o błękitnych, czystych oczach, nigdy nie obraził nikogo, nie dotknął boleśnie. Pełen przebaczenia i wyrozumiałości nie potępiał nigdy, a czasem jednem spojrzeniem tych smutnych głębokich oczu swoich nietylko poruszał winowajcę odepchniętego przez innych, ale porywał go za sobą, i na wyżyny pociągał. Rzucony wśród obcego miasta, otrzymał od cudzoziemców przezwisko „anioł jasnowłosy,“ a od garstki swoich, od współtowarzyszów pracy naukowej rodzaj jakiegoś niezupełnie uświadomionego uwielbienia. Koledzy szanowali go, i kochali głęboko, ale nie zbliżali się doń, nie poufalili z nim. Za czysty był, zbyt naprawdę anielski. Za jego ukazaniem się milkły swawolniejsze rozmowy, jaskrawsze słowa gasły mówcom na ustach. A on nie moralizował przecież nigdy, nie stawiał zarzutów.

Tylko nastrój ducha jego był zawsze o parę tonów wyższy, niż innych.

Za to w chwilach podnioślejszych ku niemu zwracały się spojrzenia wszystkich. Z krynicy ducha jego spodziewano się zawsze rosy ożywczej. I lał się wtedy strumień natchnienia z ust jego, a dusze młodzieńcze przyjmowały je w siebie, i zapalały się świętym ogniem entuzyazmu.

— Widzisz te pola, te lasy?.. wzrok mój biegnie dalej, dalej, poza nie... Dziwnie jest mi w tej chwili. Zdaje mi się, że ogarniam widnokręgi sto razy szersze niż te, które w zwykłym stanie źrenica ludzka objąć jest zdolna. Widzę wieś moją, i las ten widzę czarny, w którego cienie wpatrywał się z ciekawością dziecinny mój wzrok... W tym lesie, w tym lesie zakwita teraz cudowny kwiat paproci. Dziś noc świętojańska, bracie. Dziś nie pójdę szukać kwiatu paproci. W obcym nie znajdę go lesie. On rośnie tam, gdziem ja się urodził. On w dzień

urodzin moich zakwitnie! Patrz jak widno, bracie mój... hej najdłuższy dzień, najkrótsza noc, świętojańska noc! Za lat parę, może za rok pójdę szukać kwiatu paproci, pójdę w mój las! Widziałem go już—widziałem purpurowy jak krew! Sobótki zapłoną po wzgórzach, a ja pójdę i znajdę, znajdę ziele czarowne, albo... ha!... i w takim razie znajdę paproci kwiat...

— Pójdziemy szukać go razem!

I poszli.

Noc. Na mchach leży Janek. Oczy zachodzą mu mgłą, ciała swego nie czuje, tylko w piersiach żar straszny. Rękę lewą do piersi przyciska, prawą wyciąga przed siebie bo przed nim majaczeje we mgłach czarowny kwiat świętojański. Coraz bardziej zbliża się ku niemu purpurowy kwiat ofiary. Już jest tuż nad nim! Cudowny, cudowny! Miał przynieść szczęście jemu i innym wielu. Janek czuje woń jego rozkoszną, upajającą woń purpurowego kwiatu. Ta woń zmysły mu mąci... Za tą wonią dusza jego się wyrywa, ulata...

Gdy nazajutrz ranek ozłocił listki brzóz, leśnych, schylona nad trupem Janka klęczała piastunka chłopka i zawodziła:

— Oj, znalazłeś ty se sokoliku kwiat paproci, znalazłeś!

I całowała zimne jego stopy i ręce blade i pierś rozdartą...

W PRZYSTANI DUCHÓW.

Przed gwarem rojowisk ludzkich schronił się w ten niedostępny zakątek górski, aby oczyścić ducha ze zwątpień, albo umrzeć spokojnie zdala od walk i nędzy—od rozpaczy, pokus i upadku ludzkiego.

Ani był zagniewany na świat, ani pokłócony z życiem—ani się oburzał lub nienawidził kogokolwiek, ale smutek wielki uciskał mu duszę, bo to co go otaczało coraz mniej stawało się dlań zrozumiałem. Mnożyły mu się zagadki i wątpliwości, a rozwiązań i odpowiedzi nie przybywało wcale.

Samotności mi trzeba, myślał nieraz w chwilach gorzkich zniechęceń swoich. Chciałbym umierać z miłością w sercu, a tych nieszczęśliwych kochać mi coraz trudniej. Nie mogę zrozumieć gdzie dążą—

mój język przestał być ich językiem, moje myśli zawsze odtrącane zwracam już tylko ku Temu, od którego wzięły początek. Na co mi być głosem na puszczy—dźwiękiem bez echa—Kassandrą, której dano wzrok sięgający w przyszłość daleką, a odjęto moc trafienia do dusz ludzkich.

Poszedł.

Długo ścigał uchodzącego gwar zmięszany tonów fałszywych, który tak boleśnie szarpał mu duszę, gdy był jeszcze tam... między ludźmi. A znał on dobrze wszystkie tony i zgrzyty tego chaotycznego korowodu duchów, które pogubiły drogi swoje, bo wszakci to one odrywały go dzisiaj od tego wszystkiego, co mu od kolebki było najmilszem — one zmusiły uznać się zwyciężonym—zbytecznym a bezpotomnym pogrobowcem myśli zepchniętych i odtrąconych.

„Siły przyrody koją rany zwątpień, mawiał w chwilach takich; majestat ciszy zapładnia ducha ludzkiego. Wszystko, cokolwiek wielkiego stworzył duch człowieka poczętem było w ciszy, a i Bóg

sam przecież objawił się stworzeniu swemu w głuszy pustynnej.

Wrócić mi ztamtąd lepszym i potężniejszym albo umrzeć!“

I odgrodził się od świata przestrzenią; za namiot miał gwiaździste sklepienie niebios i czekał z wiarą tej chwili, w której uczuje, że dusza jego dźwiga się z głębin upadku.

Ale wkrótce spostrzegł, że nic w nim nie odradzało się do nowego życia, że wzrastała tylko litość i żal za tymi, których zostawił daleko, a wreszcie wśród tych skał odwiecznych a pełnych grozy niemej, coraz potężniejszem wydawało mu się dzieło stworzenia—i coraz mniejszym człowiek ze wszystkiemi jego zabiegami—i ta bezgraniczna pycha chwili, i ta nicość tryumfów samych.

„Gdyby mi tak spotkać tutaj tego, o którym słyszałem i śniłem w dzieciństwie mojem!—myślał nieraz w bezsennych nocach swoich. „Starcem z Gór“ zwało go w one czasy podanie, i widywali go żywi w rodzie moim, bo w młodości namaszczał ich do życia, a potem gdy stawali przed nim do porachunku,

jednym dawał rozkaz powrócenia zkąd przyszli, a innych okaleczałych i starganych doszczętnie dotknięcie jego ręki pogrążało w sen nieprzespany.

Zobaczyć tego starca muszę koniecznie. Niechaj on mi powie, ażalim żyw i dla żyjących, albo niech wyzwoli ducha mego z więzów ziemskich i da mi odlecieć za swoimi.“

I stało się, że po wielu nocach rozmyślań i wielu dniach pokutnych, dano mu było ujrzeć tę postać niezmierną o południu samem skwarnego lata. Ujrzał ją tam, kędy wznosił się z głazu krzyż umieszczony z woli Bożej w pierwszych zapewne dniach stworzenia, na wróżbę dla tych, którym on odkupieniem stać się miał w przyszłości—na otuchę późniejszym, którzy u stóp tego symbolu męki i ofiary przychodzili spowiadać się z zawodów i pogrzebionych nadziei swoich.

Moc tu przejść musiało duchów takich, stokroć więcej przejść ich miało w przyszłości, albowiem niosło podanie miejscowe, że nie prędzej okaże Pan miłosierdzie swoje ludziom, aż pokutne czoła zetrą napis wyżłobiony niewiadomo w ja-

kich czasach i jaką ręką, na podstawie tego krzyża, postawionego tutaj ręką Bożą.

„Qui redimisti perditos noli perdere redemptos.“ (*)
stało wyryte na głazie półzatartemi głoski. Kiedy zatrą je do szczętu czoła tych, którzy tu przyjść mieli, i kając się i wzywać miłosierdzia, o tem wiedział tylko Ten, który naznaczył karę, i godzinę skruchy przewidział.

Przechowała wiernie pamięć jego kształty tej postaci, czy tego ducha, który mu się tylokrotnie objawiał w snach dzieciństwa i młodości, więc gdy ją ujrzał taką właśnie, jaka mu stała przed oczyma duszy, zaczął biedz ku niej z wyciągniętemi ramiony, jak biegnie ku pierwszemu spotkanemu w puszczy dziecię, które pragnie, aby mu pokazano drogę do macierzy. Ale w miarę jak się zbliżał, olbrzymiały mu te kontury, a gdy już stanął oko w oko z onem widmem rodzinnej

(*) Który odkupiłeś zatraconych, nie chciej zatracenia odkupionych.

legendy, zrozumiał nagle, że łacniej było wyzywać myślą ukazanie się się zjawiska, jak dotrzymać mu spojrzeniem—łatwiej pożądać takiej godziny, niż ją przeżyć śmiertelnemu.

A zatrzymało mu się tchnienie w piersi i zamarły słowa na ustach, gdy nad pochyloną głową swoją usłyszał wśród niezmiernej ciszy przyrody:

— Znam ciebie i twoich. Wiem ktoś jest i zkąd przybywasz, ale nie wiem, co mi przynosisz. Powiedz, czego żądasz, a ja ci dam, jeśli to będzie w mocy mojej.

— Ognia Bożego dla serca, a potęgi słowa dla ust moich.

— Toż dane ci było to wszystko. Co począłeś z darami, których ci Pan nie poskąpił?

— Złym jak widać byłem robotnikiem; skarby moje wydałem do ostatniego halerza, i stoję oto niemy a z pustką w duszy, i niczem się już nie mogę podzielić z tymi, którzy słowa potrzebują.

— Potrzebują czy łakną? Powiedz... Dla czego milczysz?

. . . .

— A więc ja ci powiem. Sześciu tu było przed tobą, a ty siódmym z kolei przychodzisz do mnie. Błogosławiłem im na życie i na sen wieczny, ale ci co odchodzili to byli starce wszystko. Ty pierwszy stajesz tu nie przygnieciony wiekiem, a włos biały na głowie twojej. Z tamtych, co przybywali o wieczornej zorzy, dźwigał każdy na barkach dzieła własne—ty jeden zjawiasz się z próżnemi rękami. Wszak siałeś słowo Boże?

— O ilem mógł i umiał..., ale...

— Rozumiem—nie chcesz rzucać kamieniem, ale prawda dobywa się z po za milczenia twego. Nie schodzi z winnicy dobry robotnik przed czasem, a dobrymi robotnikami byliście dotąd ty i twoi. Na skały padało widać słowo twoje i zmarniało to słowo, a ty stałeś się jako arfa, której odjęto struny, i jako palma uschła na pustyni, wśród morza spiekłych piasków. Jeśliś ustał—to zaśnij i niechaj będzie z tobą spokój wiekuisty.

— A oni tam?—a tamci?

— Moc Boża nad nimi, jako i nad wszystkiem, co stworzonem jest, a nie w sile człowieczej powracać po raz wtóry

do dzieła takiego. Jednakże to ci powiem, że ty jeden najlepiej wiedzieć musisz, zkąd przychodzisz i dlaczego chcesz powracać. Więc jeśli tam, gdzie myśl i dusza twoja, biały włos starca, szata wdowia i sieroctwo dziecka są jeszcze hamulcem dla siły — jeśli się pochyla człowiek przed noszoną z godnością niedolą — jeśli poszanowaną jest mogiła wraz z tem, co się w niej kryje myśli Bożej—jeśli ten, który mówi o zmarłych, nie czyni tego jak ów syn Noego, zdzierający płaszcz z ciała własnego rodzica ku szyderstwu i urągowisku ludzkiemu— jeśli człowiek po faryzejsku nie woła, że mu nowego Boga i nowych prawd potrzeba, a ze starych jednego okrucha na drogoskaz sobie i drugim nie zostawił.

. . . .

Przerwał w tem miejscu Starzec z Gór, bo usłyszał jak głowa tego, który stał przed nim uderzyła o głazy zimne, a tam gdzie dotknęła napisu, znikły odrazu litery złobione.

I widząc, że ma przed sobą jednego z tych, co cierpią za winy nie swoje, dotknął palcem jego czoła i uleciała ta dusza z onych

szczytów górskich wprost ku niebu, i nie kazano jej przepłynąć ponad ziemią, która siłą nieprawości duchów zbłąkanych macochą się stała dla najlepszych dzieci swoich.

KONIEC.

SPIS RZECZY.